Łodzi

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I. Łódź, 23 marca 1958 r. Cena 1 zł nr 4

CZY TO PIES, CZY TO BIES • TAJNIKI WYWIADÓW • KOLONIA PRZEZ ŻÓŁTE OKULARY • O SĄDACH I PRZESĄDACH • SPRAWA GŁOWY NA TLE NÓG • NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI ŚWIATA • ROZRYWKI UMYSŁOWE • RECENZJE Z PROZY I POEZJI • KONKURS FOTOGRAFICZNY

Ewa Neugebauer, tancerka zespołu Feliksa Parnella

BERTRAND RUSSEL

Tłum. JAN ZAKRZEWSKI

STRASZNY SEN KRÓLOWEJ SABY

czyli wiary nie dawaj książętom

Powracając z wizyty u króla Salomona królowa Saba jechała pustynią na białym ośle, obok, na ośle zwyklejszego koloru, jechał jej wielki wezyr. Gdy tak podróżowali, królowa rozprawiała podniecona o bogactwie i mądrości Salomona.

— Zawsze byłam przekonana — mówiła — że mam okazały dwór, godny majestatu królewskiego. Miałam też nadzieję, jadąc z wizytą do Salomona, że spotkam sobie równego, kiedy jednak zobaczyłam jego bogactwa, zaparło mi dech. Ale nawet bogactwa pałacu Salomona są niczym w porównaniu ze skarbami jego umysłu. Ach, drogi wezyrze co za mądrość, co za znajomość życia, co za uczoność! Gdybyś ty miał w całej swej głowie tyle rozsądku politycznego, co on w jednym małym palcu, nie byłoby tych wszystkich kłopotów w moim królestwie. Nie tylko jednak bogactwo i mądrość wynoszą go ponad innych. Jest on również (chociaż być może ja jestem jedyną, która o tym wie) poetą najwyższej klasy. Kiedy się rozstawaliśmy, podarował mi oprawny w klejnoty tom swoich własnych nieporównywalnych utworów, w których językiem pięknym i wykwintnym wyraża on radość z mojego towarzystwa. Są tam fragmenty opiewające moje najintymniejsze uroki. Tych bym ci nie pokazała powodowana skromnością. Inne strony być może odczytam ci w czasie naszej podróży przez pustynię. Cudowna księga zawiera nie tylko jego własne słowa, których każda kobieta chętnie słucha z zakochanych ust, ale także poetyckie zwroty, pełne gorącego uczucia i wyobraźni przypisywane mnie i zaiste z radością bym je wypowiedziała. Jestem pewna, że już nigdy nie znajdę tak doskonałego zrozumienia, tak doskonałej harmonii i takiego zgłębienia wszystkich zakątków duszy. Niestety sprawy wielkiej wagi zmuszają mnie do powrotu w granice mego królestwa, ale do śmierci będę nosiła w sercu pamięć, że żyje na świecie jeden mężczyzna wart mojej miłości.

— Miłościwa Pani zechce wybaczyć — odezwał się wielki wezyr — bo nie moją sprawą jest wsączać niepewność w piersi królewskie, ale dla wszystkich, którzy służą Miłościwej Pani, jest rzeczą oczywistą, iż wśród żyjących nie ma nikogo, kto byłby Jej godny...

W tejże samej chwili, wynurzając się z zachodzącego słońca, pojawiła się sylwetka zmęczonego drogą pieszego wędrowca.

— Któż to być może? — spytała królowa.

— Żebrak jakiś, Miłościwa Pani — odparł wielki wezyr. — Radzę stanowczo trzymać się odeń daleko.

Jednakże pewna godność w wyglądzie wędrowca zdawała się wskazywać na osobę znaczniejszą od żebraka. Wbrew protestom wielkiego wezyra królowa obróciła osła w jego kierunku.

— Kimże jesteś? — spytała.

Odpowiedź natychmiast rozwiała wszelkie obawy wielkiego wezyra, ponieważ wyrażona była w idiomach, które zaliczano do najbardziej wytwornych na dworze królowej Saby:

— Imię me Belzebub, Miłościwa Pani. Jest ono z pewnością obce jej uszom, gdyż rzadko sprawy przywodzą mnie w okolice tak odległe od ziemi kanańskiej. Wiem natomiast, kim ty jesteś, pani. Wiem nie tylko, kim jesteś, ale i skąd przybywasz, i jakie obrazy zawładnęły twymi wieczornymi myślami. Wracasz jest mi wiadome, z odwiedzin u mądrego króla, któremu od wielu lat jestem serdecznym przyjacielem, choć trudno to przypuścić patrząc na moje skromne przebranie. Wierzę, że powiedział ci on o sobie wszystko, co postanowił powiedzieć. Jednakże — być może przypuszczenie to jest zbyt pochopne — jeśli pragniesz wiedzieć o nim to, z czym on nie uważał za wskazane się z tobą podzielić, wystarczy zadać mi pytanie, gdyż przede mną nie ma on tajemnic.

(Dokończenie na str. 6)

Łódź. Kawiarnia Staromiejska

„Łódź i łodzianie"

Redakcja tygodnika łódzkiego „Odgłosy" i Polskie Towarzystwo Fotograficzne Oddział w Łodzi organizują konkurs pn. „Łódź i Łodzianie"

1. W konkursie mogą brać udział wszyscy fotografujący.

2. Klasyfikowane będą fotogramy o formacie od 18 x 24 cm wzwyż. Fotogramy mniejsze od wymienionych rozmiarów nie będą klasyfikowane. Fotogramy powinny być nie oprawione i nie naklejone.

3. Fotogramy powinny tematycznie odpowiadać konkursowi, posiadać wysoki poziom techniczny i mogą być opracowane dowolną techniką fotograficzną. Tematyka zdjęć może obejmować wszystko, co dotyczy obrazu i życia miasta.

4. Jeden autor może nadesłać dowolną ilość prac. W konkursie może brać także udział zespół autorów, o ile żaden z członków zespołu nie bierze w nim udziału indywidualnie. Całość prac zespołu traktowana będzie jako praca jednego autora. Zespół podaje w zamkniętej kopercie nazwisko i adres swego męża zaufania upoważnionego do reprezentowania zespołu przed władzami Konkursu.

5. Fotogramy należy podpisać godłem słownym i dowolną trzycyfrową liczbą oraz podać na odwrocie fotogramu dokładny tytuł pracy, miejsce i datę wykonania zdjęcia. Poza tym należy dołączyć osobno zamkniętą kopertę zaopatrzoną w godło i liczbę, a w kopercie: a) imię i nazwisko, b) adres autora, c) wykaz fotogramów zgodny z podpisami na poszczególnych fotogramach. Koperty z godłami zostaną otwarte komisyjnie po zakończeniu prac Sądu Konkursowego. Autor biorący po raz pierwszy udział w konkursie fotograficznym winien to zaznaczyć na kopercie z godłem.

6. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 25 maja 1958 r. (decyduje data stempla pocztowego na przesyłce). Przesyłki należy kierować pod adresem: Polskie Towarzystwo Fotograficzne Oddział w Łodzi, Łódź, ul. Andrzeja Struga 2 (skrytka pocztowa 155).

7. Sekretariat łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Fotograficznego będzie udzielał bliższych informacji i porad osobom zainteresowanym.

8. Organizatorzy i instytucje zainteresowane zastrzegają sobie prawo reprodukcji oraz prawo zakupu prac nadsyłanych wg obowiązujących cenników ZPAF i ZAIKS'u.

9. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do dnia 15 czerwca 1958 r. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone na łamach tygodnika łódzkiego „Odgłosy".

10. Zwrot fotogramów nastąpi po zakończeniu Konkursu i Wystawy wyróżnionych prac, w każdym razie nie później niż do dnia 31 października 1958 r.

11. Jeden autor może otrzymać tylko jedną nagrodę.

12. Dla usprawnienia prac Sądu Konkursowego powołana zostanie Komisja Kwalifikacyjna, która przeprowadzi wstępne eliminacje.

13. Członkowie Sądu Konkursowego nie mogą brać udziału w Konkursie.

14. Sąd Konkursowy zastrzega sobie prawo nieprzyznania którejkolwiek z ustanowionych nagród, jeśli uzna, że nadesłane fotogramy nie są na odpowiednim poziomie artystycznym lub nie odpowiadają tematyce.

16. Instancją, która decyduje o właściwej interpretacji regulaminu, są organizatorzy konkursu.

REDAKCJA TYGODNIKA ŁÓDZKIEGO „ODGŁOSY"
POLSKIE TOWARZYSTWO FOTOGRAFICZNE, ODDZIAŁ W ŁODZI.

Wykaz nagród zostanie ogłoszony w jednym z najbliższych numerów „ODGŁOSÓW".

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Czy to pies, czy to bies?

Poważniejsze dyskusje w prasie łódzkiej uważane są — jak widać — za ciężki kawałek chleba, skoro ich nie widać. Cudowna zgodność poglądów w naszych gazetach mogłaby sugerować, że jeśli nie brać pod uwagę takich spraw, jak skład drużyny ŁKS, nie ma się o co spierać. Z tym większą radością należy powitać, rachityczną co prawda, ale ważną dla nas, wymianę zdań na temat, czy Łódź jest miastem kulturalnym?

Z głosów, jakie dotąd padły w tej sprawie wynika, że Łódź jest na pewno bardzo kulturalnym ośrodkiem, albo z pewnością nim nie jest. Dyskutanci przypominają po trosze ludzi, którzy znaleźli przypadkowo nieznany sobie przedmiot. Jeden powiada: to jest coś białego, drugi: skądże, przecież to czarne, trzeci: białe, czwarty: nieprawda, czarne. I tak sobie skutecznie dyskutują.

Powiada Marian Piechal („Odgłosy" nr 3), że Łódź to straszne miasto, skrzyżowanie Rypina z Garwolinem, pomnożone przez trzy Przytyki i dwie Przysuchy. Wszystko co wartościowe, utalentowane, ucieka w dyrdy do Warszawy, o czym świadczy porzucenie Łodzi przez pięciu pisarzy. I czemu wyjechali, jeżeli nie na skutek zawiesistej, prowincjonalnej, atmosfery. Trzeba dużej odwagi ze strony artysty, aby żyć w zabójczym dla twórczości klimacie Łodzi. Słowem — miasto, kwalifikujące się na przemiał lub do generalnego remontu.

Powiada zwolennik białego koloru — co to znaczy miasto niekulturalne, jak to niekulturalne? Toć przecież pracują tu naukowcy dziewięciu wyższych uczelni, wydają mnóstwo prac naukowych! A dziesięć teatrów, w tym opera i znakomita operetka, a radio i przodująca telewizja, a balet Parnella rozchwytywany w Paryżu, a balet Harnama, który zawojował całe Włochy, a muszle koncertowe w parkach, jeden z niewątpliwych dowodów istnienia Wydziału Kultury, a Wydawnictwo Literackie, trzy gazety, jedno pismo na pewno bardzo satyryczne i drugie na pewno bardzo kulturalne? Słowem — kulturalny ogrójec z tej Łodzi.

Kilkunastu, kilkudziesięciu, a może jeszcze więcej uzdolnionych twórców opuściło Łódź w ostatnich latach. Fakt? Owszem, ale fakt, który sam przez się niczego jeszcze nie wyjaśnia. Wiadomo, czy Łódź jest lepsza, czy gorsza, czy kocha twórców, czy ich tępi — zawsze lepiej mieszkać w stolicy. Lepiej być w Warszawie łazikiem, niźli w Łodzi Słobodnikiem. To obiegowe powiedzonko, pomijając jego niezbyt fortunny akcent personalny, mówi jednak część prawdy. Wielu uciekinierów z Łodzi do Warszawy, powiedzmy nawet tępionych, ograniczanych, wcale nie ujawniło nadzwyczajnych talentów, wcale nie błyszczy na stołecznym parnasie. Dopiero teraz zginęli w tłoku, kibicują. Inna to rzecz — kibicują na szczeblu centralnym.

Duża część uciekinierów znalazła się w naszym mieście przypadkowo, przygnana — jak to się mówi — wichrem dziejów. Czy można o to winić Łódź, że utalentowany człowiek kocha Warszawę i chce tam zamieszkać? Byłoby w takim stanowisku coś bardzo nieludzkiego. Zapewne, jakaś część ucieka przed martwotą, widmem bezrobocia w radiu, telewizji, teatrach, filmie, Wydawnictwie Literackim, czy prasie.

Trudno więc doprawdy sądzić ogólnie, że zbiegostwo z Łodzi wynika przede wszystkim z trującego klimatu. To, rzecz prosta, nie znaczy, że ojcowie naszego miasta ukochali nade wszystko sprawy kultury. Z całą pewnością da się wyliczyć bogaty rejestr nonsensów w polityce kulturalnej na terenie Łodzi.

Po drugiej stronie barykady okopał się uśmiechnięty Optymistienko i krzyczy, że byczo jest! Optymistienko rozumuje jak ksiądz Skarga: o ile powiększycie liczbę etatów waszych w instytucjach życia kulturalnego, o tyle polepszycie stan ducha i umysłów. A że tych etatów i instytucji w Łodzi nie brak, jesteśmy więc miastem kulturalnym.

Ręce opadają, kiedy się słyszy lub czyta te matematyczne równania z olbrzymią liczbą niewiadomych. Chwaliliśmy się swojego czasu: szczęśliwy nasz kraj, zbudowaliśmy ofiarnym wysiłkiem drugą w świecie co do gęstości sieć bibliotek. Dobrze, i co z tego? Działa w Łodzi, powiedzmy dla przykładu, Związek Plastyków, pracuje wielu zdolnych malarzy, a obrazy mało kto kupuje. Trafiają się przecież biblioteki bez czytelników, kościoły bez wyznawców, teatry bez widzów,, uczelnie bez ruchu umysłowego i urzędy „od kultury" bez głowy. Sieć instytucji to oczywiście rzecz niebagatelna, ale sama przez się także nic nie znaczy.

Tak więc zmierzajmy do konkluzji: dotychczas stosowane w dyskusji mierniki życia kulturalnego w naszym mieście są zawodne, przypominają znane powiedzenie Boya: „jak zwykle w życiu rodzinnym, każdy mówi o czym innym".

Każde miasto powinno być dumne ze swoich twórców — ludzi pióra, pędzla, czy nauki, powinno ich otaczać opieką, lub przynajmniej nie przeszkadzać. Ale twórcy nie powinni sądzić, że ich samopoczucie, wyobrażenia, wyznaczają bez reszty sytuację kulturalną setek tysięcy ludzi. Kto nie strawi sztuki Andrzejewskiego „Ciemności kryją ziemię", bawi się doskonale na Goldonim, czy w operetce. Nie każdy łodzianin, który unika „Nowej Kultury", czy „Życia Literackiego" jest troglodytą. Czyta „Przekrój", tygodnik przecież nie szmirowaty.

Kultura jest pojęciem bardzo pakownym, trudno o niej rozprawiać bez rozważenia określonych historycznie tradycji kulturalnych. Ma je przecież Łódź, skłonna do lżejszej Muzy, i nie pierwszej, ale dziesiątej. Ale póki te specyficzne cehy łódzkiego życia kulturalnego nie zostaną porządnie zbadane, póki nie zostaną użyte w dyskusji jako argumenty, będziemy co najwyżej młócić zboże, w którym nie ma ziarna.

Nasza szkółka

Sprawa głowy na tle nóg

Wyznać tu muszę, niepomny na swój pedagogiczny autorytet, że Wasz Belfer dostaje zawrotu głowy na samą myśl o nogach, a nogi pod nim uginają się i plączą, gdy podejmuje sprawy głowy.

Tak więc, jedną ze splątanych nóg spisuję dydaktyczne uwagi, realizując program nauki czytania gazet, przewidziany dla „Naszej Szkółki".

Wszystko zaczęło się od nóg baletu Łódzkiej Opery, który, jak każdemu dziś już wiadomo, uświetnił swymi występami miasto Paryż.

Faktowi temu towarzyszył korowód wydarzeń prasowych. Ponumerujmy je dla porządku.

1) „Życie Warszawy" zamieszcza felieton, w którym autor powiada, że życzy Parnellowi wszystkiego dobrego, tylko się boi, iż balet łódzki jest za młody i za słaby, program lichy i na chybcika spitraszony, akceptacji odpowiednich urzędów dla występów nie ma, za tanio się Parnell w Paryżu sprzedał, wejście do teatru jest z bramy, kultura polska może być źle reprezentowana przez ten improwizowany program i szczekaczki mogą naszczekać, że Parnell tak tańczy, jak mu komuniści zagrają (co jest o tyle dziwne, iż muzyka nagrana została na magnetofonie kapitalistycznej produkcji). Poza tym wszystko w porządku.

2) Po paryskiej premierze, pani T. Woj. rozmawiała przez telefon z dyrektorem Opery Łódzkiej p. Nowicką, która w celach opiekuńczych, rzecz jasna, za baletem nad Sekwanę, nie szczędząc trudu, wyruszyła. Pani dyrektor występem swych dziewczynek nad wyraz była zachwycona. Policzyła ambasadorów na sali, bisy, bukiety i kurtyny, stwierdziła radodośnie, że aż 30 prawdziwych francuskich dziennikarzy zgodziło się przyjąć bezpłatne bilety na występ, więcej — dziennikarze ci zdjęcia robili, a z Londynu przybyła specjalnie na występ, jeśli nawet nie Ela Windsor, to zawszeć Loda Halama.

3) „Życie Warszawy" zamieszcza notatkę o występie opatrując ją informacją: Paryż. Telefon własny. Pisze w niej, że sukces był wielki, ambasadorów wielu, w ogóle wszystkiego wiele, a dziennikarzy 30 i wywiadów trzy.

4) „Życie Warszawy" znów zamieszcza notatkę informującą, że Parnell zrobił w Paryżu klapę. Z kolei rozkręca się krytyka. Już ani słowa o ambasadorach, ale za to trochę o tym, że Ministerstwo Kuryluka powinno wyciągnąć odpowiednie wnioski. W „PS." zaś czytamy, że ten poprzedni „telefon" nie był własny, a pożyczony i nie z Paryża a z Łodzi, a że Łódź to nie Paryż, informacja o sukcesie okazała się więc błędna.

5) T. Woj., czyli kobieta, która rozmawiała przez telefon z autentycznym Paryżem uosobionym przez panią Nowicką, ogłasza w „Dzienniku Łódzkim" felieton, w którym powiada, że jednym występ się podobał, a innym nie. Akurat tym, co go widzieli — owszem — tak, a tym, co o nim pisali — nie. I że nawet jeśli występ był nie bardzo udany, to socjalizm się od tego nie zawali, a Polska swej kulturalnej twarzy nie straci.

6) Przed tym wszystkim „Sztandar Młodych" zamieścił... ale nie. Tego rodzynka zostawmy sobie na koniec.

Wasz Belfer po naradzie z całym ciałem pedagogicznym „Naszej Szkółki" postanowił przychylić się do zdania pani T. Woj. w kwestiach socjalizmu i polskiej kultury. Ponadto zaś mniema, że jaką by chalturą parnellowski występ w Paryżu nie był i jakiej klapy balet by nie zrobił, zawszeć to rzecz korzystna, że balet łódzki, gdy np. pojedzie teraz do Sieradza, będzie mógł na afiszach napisać: „Po sukcesach w Paryżu..." itd. z wymienieniem dziennikarzy, ambasadorów i Lody Halamy. Bo Paryż — jak pisał Manturzewski — to niezbędna ścieżka, towarzysząca polskiej drodze do socjalizmu.

Dla „Naszej Szkółki" ważne jest jednak co innego: jakie nauki, związane z czytaniem gazet, wynieść można z całej tej sprawki?

Nauka I. Jeżeli warszawski dziennik pisze, że ma informację własną z Paryża, oznacza to niechybnie, iż jedna polska pani, wczasując w Paryżu powiedziała przez telefon drugiej polskiej pani coś, co ta powiedziała trzeciej pani, a ta podała do gazety.

Nauka II. Jeżeli prasa donosi o jakimś sukcesie, to może być tak, a może być zupełnie inaczej.

Nauka III. Jeżeli dyrektor Opery powiada, że j e g o balet odniósł niebywały sukces i zachłystuje się z samozachwytu, to czytelnik powinien się śmiać, bo nie po to taki dyrektor się ośmiesza, żeby czytelnik się potem nie śmiał.

Nauka IV (wynikająca z III). Kiedy czytelnik znajdzie w prasie polskiej taką np. relację: „Wczoraj koncertowałam w Pernambuco. Wzniosłam się w najwyższe rejony mistrzostwa gry. Sala szalała (w tym 100 ambasadorów), bisy i bisy. Tak dobrze, jak ja nikt jeszcze nie grał..." — to czytelnik nie powinien się dziwić, albowiem polska prasa tym się różni od prasy całego świata, że takie pełne obiektywizmu i skromności rzeczy zwykła drukować.

Nauka V. A więc „Sztandar Młodych" podał za paryskim „France Soir", że dyrektor teatru „Etoile", gdzie parnellowski zespół występował, otrzymał telegram od polskiego Ministerstwa Kultury, potwierdzający umowę w sprawie przyjazdu łódzkiego baletu, która miała 87 cm długości i liczyła 2.700 słów, a kosztowała 6.121 zł w dewizach. Tłumaczenie jej trwało 48 godzin i kosztowało 15.000 franków. „Sztandar" dodał, że taniej kosztowałoby wysłanie kuriera do Paryża. Pytamy więc: dlaczego Ministerstwo kuriera nie wysłało? Czyżby już trudno było w naszym kraju o człowieka, który by też chciał zobaczyć Notre Dame, a mógł przecie jeszcze dla pełnego wykorzystania dewiz być zatrudniony przy liczeniu ambasadorów na widowni?

Znowu jakaś głowa nie popracowała. Bo u nas pracują tylko nogi: czasem dobrze, czasami, jak widać, źle. Kończę na tym, gdyż i moja noga spuchła mi od pisania, jakby i ona brała udział w paryskich występach parnellowskiego baletu.

Wasz
BELFER

Tajniki wywiadów, gabinetów i wydarzeń XX wieku

Skorzenny i fałszywe funty *czyli* KTO PORWAŁ MUSSOLINIEGO

MAREK T. EMER

Porwanie Mussoliniego przez SS-manów z Gran Sasso we Włoszech było wydarzeniem tak głośnym, że można milcząco przyjąć, iż każdy prawie Czytelnik o nim słyszał. Z wydarzeniem tym wiąże się nierozłącznie nazwisko nieprzeciętnego awanturnika hitlerowskiego — Otto Skorzennego. Jemu bowiem przypisuje się pełne autorstwo tego wyczynu. Czy jednak „zasługa" Skorzennego nie podlega już żadnej dyskusji?

SZYFROWANA DEPESZA

Dzień 17 czerwca 1943 roku. Obersturmbanführer dr Höttl, dygnitarz RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) otrzymał niecodziennej treści szyfrowaną depeszę radiową. Przedstawiciel SD (Służby Bezpieczeństwa — wewnętrzny i zagraniczny wywiad SS) w Rzymie, dr Gröbl, wzywał go do natychmiastowego stawienia się w stolicy Włoch. Przyczyny nie podawał jasno — z treści depeszy wynikało jednak, że Gröbl wpadł na trop dojrzewającego zamachu na reżim Mussoliniego.

Wieczorem, gdy Höttl był już gotów do odjazdu, zgłosił się do niego kurier przerzucony pośpiesznie specjalnym samolotem z Rzymu. Wręczył mu lapidarny, odręcznie i w wyraźnym pośpiechu pisany list Gröbla: *„Nawet za cenę późniejszego przybycia proszę koniecznie wziąć z sobą radiostację nadawczą dużej mocy i zaufanego operatora. Zdarzyć się może, że wkrótce stanowić ona będzie jedyny środek łączności pomiędzy Rzymem i Berlinem"*. Z tych dwu dosłownie zdań wynikało, że sytuacja we Włoszech pogarsza się z godziny na godzinę. Gröbl nie należał bowiem do panikarzy.

W kilka godzin po północy samolot, wiozący na pokładzie Höttla i operatora z radiostacją, brał już kurs na Rzym. Sprawa nie cierpiała zwłoki.

Na lotnisku z niepokojem oczekiwali Höttla: Gröbl i pełnomocnik Gestapo Włoch — Kappler. Wszyscy trzej udali się natychmiast do mieszkania Kapplera na Via Tasso. Po południu przywieziona radiostacja miała już łączność z centralną radiostacją SD w Wansee koło Berlina.

SPISEK W ŁONIE WIELKIEJ RADY FASZYSTOWSKIEJ

19 czerwca w południe Höttl nadawał już pierwszy meldunek dla swego szefa, Waltera Schellenberga. Zawierał on wprost rewelacyjne dane: w łonie Wielkiej Rady Faszystowskiej zawiązał się spisek, który na specjalnie zwołanym posiedzeniu Rady w dniu 24 czerwca zamierzał obalić dyktaturę Mussoliniego i uwięzić Duce.

Pięć dni, jakie dzieliły pierwszy meldunek o zamierzonym zamachu stanu od jego dokonania były czasem formalnie dość długim, aby podjąć skuteczne przeciwdziałanie nawet w tej skali. Sprawa była jednak szczególnie delikatna — dotyczyła bądź co bądź zaprzyjaźnionego mocarstwa. Dlatego RSHA poprzestało na sprawdzeniu otrzymanego meldunku i w rezultacie zamach Badoglio całkowicie zaskoczył nie tylko Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy, ale także Hitlera.

PROJEKT „OPERACJI STUDENT"

Pierwsza wiadomość o zamachu otrzymał Hitler od Himmlera dopiero rankiem 25 czerwca. Już wieczorem rozpoczęła się w Głównej Kwaterze dramatyczna konferencja poświęcona sprawie tego wydarzenia. Hitler miotał się jak oszalały, rzucając pod adresem Włochów przekleństwa i kreśląc mało realne plany zemsty. Wreszcie w nocy podjęto szereg decyzji. Przede wszystkim zarządzono natychmiastowe wkroczenie wojsk niemieckich do Włoch. Dalszy projekt ukryty pod kryptonimem „Operacja Student" przewidywał aresztowanie rządu Badoglia i rodziny królewskiej oraz restytuowanie dyktatury faszystowskiej pod auspicjami Mussoliniego. Na wypadek niepowodzenia tego planu i kapitulacji Badoglia przed aliantami, wejść miała w życie „Operacja Oś", przewidująca rozbrojenie armii włoskiej.

O planach Hitlera w stosunku do Włoch dowiedział się Höttl nazajutrz za pośrednictwem szyfrowanej depeszy przesłanej mu przez Schellenberga. W tym samym mniej więcej czasie do Kepplera dotarło polecenie Ribbentroppa, aby natychmiast aresztować rząd Badoglia i przewieźć Mussoliniego do Niemiec jako gościa Hitlera. Keppler jednak poza Höttlem, Gröblem, jednym agentem i maszynistką nie posiadał nikogo — natomiast Badoglio dysponował w Rzymie i jego okolicach pięcioma dywizjami wojsk włoskich, które podporządkowały się nowemu rządowi. To polecenie jeszcze dobitniej niż plany Hitlera wykazywało, jak wielkie było zaskoczenie w Berlinie i jak słabe rozeznanie w sytuacji miał Ribbentropp.

Mussolini na froncie francuskim w Alpach

W tym układzie Höttl obawiał się podjęcia jakichś nieodpowiedzialnych kroków, które mogłyby pogorszyć położenie Niemców we Włoszech. W porozumieniu więc z ambasadorem Rzeszy w Rzymie, von Mackensenem, i dowódcą wojsk niemieckich w południowej Europie, Kesselringiem, skierował do swego szefa Schellenberga pilny memoriał. Przedstawiając w nim całkowity brak własnych sił na terenie Włoch, sugerował rezygnację z „Operacji Student", zalecając wycofanie wojsk niemieckich na linię strategiczną od granicy szwajcarskiej do ujścia Padu i utrzymanie z rządem Badoglia neutralnie przyjaznych stosunków. Zapewne było to dla Niemiec najlepsze wyjście z sytuacji.

Memoriał ten szef zagraniczny SD Schellenberg przekazał za pośrednictwem Kaltenbrunnera i Himmlera — Hitlerowi. Ten uznał jednak plan SD za zdradziecki wobec „bratniego narodu" i z emfazą zakomunikował swemu otoczeniu, że nigdy nie pozostawi Ducego i włoskich faszystów ich własnemu losowi

HÖTTL CONTRA SKORZENNY

Schellenberg za swe dobre chęci otrzymał tylko rugę od Kaltenbrunnera, który znów przez telefon wysłuchał od Hitlera wiele nieprzyjemnych słów. Natomiast Główna Kwatera zarządziła przeprowadzenie „Operacji Dąb" — uwolnienie Mussoliniego, aresztowanego w międzyczasie przez rząd Badoglia. Szef RSHA Kaltenbrunner, któremu zlecono wykonanie tej operacji, straciwszy zaufanie do twórcy memoriału włoskiego — Höttla, powierzył ją znanemu awanturnikowi Otto Skorzennemu. Hauptsturmführer Skorzenny nie cieszył się opinią zbyt inteligentnego — miał natomiast zasłużoną opinię człowieka nieprzeciętnej odwagi i brawury. W zagranicznym dziale SD pełnił on funkcję dowódcy specjalnej grupy sabotażowej, tzw. „Gruppe S".

Höttl nie był zachwycony przybyciem Skorzennego. Znając jego ograniczoną inteligencję i brutalność obawiał się, że ten awanturnik raczej przeszkodzi niż pomoże w przeprowadzeniu akcji. Istotnie, już w ciągu kilku pierwszych dni, podczas których Skorzenny i jego ludzie usiłowali ustalić miejsce uwięzienia Mussoliniego, nastąpiły niepowodzenia. Wówczas Höttl z pomocą najbliższych współpracowników we Włoszech, głównie Gröbla, postanowił ratować „honor" SD Było bowiem nie do pomyślenia dla „prawowiernego" gestapowca, aby wskutek niezadowolenia Hitlera akcję tę powierzono Abwehrze (niemiecki kontrwywiad wojskowy), z którą gestapo pozostawało w stosunkach raczej chłodnych, jeżeli nie wręcz nieprzyjaznych.

W POSZUKIWANIU UWIEZIONEGO DUCE

Höttl nie miał żadnych złudzeń, że zarówno faszyści, jak i Niemcy są znienawidzeni przez Włochów. Uzyskanie informacji o miejscu pobytu Mussoliniego było więc szczególnie trudne.

Istniała jednak mała szansa, którą stwarzała szczególna sytuacja we Włoszech Na rynku włoskim panował zupełny brak towarów, inflacja narastała z każdym dniem. Wobec całkowitego upadku zaufania do waluty włoskiej, dolary i funty angielskie osiągały astronomicznie wysokie notowania na czarnej giełdzie. To właśnie postanowił wykorzystać Höttl.

M. R.

(ciąg dalszy za tydzień)

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

W OBRONIE POEZJI

Czytelnika XX wieku uderzać musi współczesność Ryszarda III. Odczytuje tę sztukę albo patrzy, jak ją odkrywają na scenie poprzez doświadczenie własne. I nie może ani jej odczytywać inaczej, ani patrzeć na nią inaczej. (...) Współczesny widz odnajdując w tragediach szekspirowskich własną współczesność zbliża się często niespodziewanie do współczesności szekspirowskiej. A w każdym razie dobrze ją rozumie. Dotyczy to przede wszystkim kronik historycznych".

Łaskawy czytelnik zechce mi wybaczyć ten przydługi cytat z opublikowanego w „Przeglądzie Kulturalnym" rozdziału książki Jana Kotta, zatytułowanej „Szekspir współczesny". Kładę go w tym felietonie nie tyle jako motto, ile jako przestrogę. Przestrogę dla tych którzy wiersz szekspirowski odczytywać by chcieli, jako dzieło pisarza nam współczesnego. Jest bowiem coś bardzo żałosnego w tym wskazywaniu palcem na klasyków i twierdzeniu: „Spójrzcie! On mówi o okrucieństwie naszych czasów!, albo: „Spójrzcie! Ten werset jest przestrogą dla naszych władców!" „Nowoczesne" — a w rozumieniu wielu oznacza to dziś tyle, co „polityczne" — odczytywanie Szekspira przynosi skutki raczej dość smutne. Nie zamierzam rozstrzygać tutaj niełatwego problemu stosunku sztuki do polityki. Ja naprawdę nie wiem, czy sztuka winna opiewać czyste piękno eksplodującej róży i przekazywać jedynie wzruszenie poety i jego racje intelektualne, czy też winna angażować się w spory polityków i moralistów. Ale bardzo nie lubię, kiedy dzieła klasyków stają się dla reżysera w teatrze pretekstem do wypowiedzi politycznej.

O naszej współczesności niech mówią Andrzejewski czy Brandstaetter. Robią to lepiej lub gorzej — ale robią. Pozwólmy więc Hamletowi być królewiczem duńskim. Nie każmy mu być „Hamletem po XX Zjeździe". Nie szukajmy pamfletów politycznych tam, gdzie ich znaleźć nie można.

Wydaje mi się bowiem, że odczytanemu na nowo i upolitycznionemu Szekspirowi czy Słowackiemu grożą rozliczne niebezpieczeństwa. Przede wszystkim niebezpieczeństwo spłaszczenia, uproszczenia i zubożenia tekstu, niebezpieczeństwo zagubienia owych chwil, w których prozatorski tok wiersza rozbłyskuje na chwilę światłem wielkiej metafory. Efekty uzyskane za cenę rezygnacji z poezji, metafizyki i wielowarstwowości tekstu, nie warte są chyba tych wyrzeczeń. Rewelacja polityczna, oklaski i uśmiech widowni — i to już wszystko. Współczesność szekspirowska pozostaje oddalona, nieosiągalna. Mimo najlepszych chęci, nikt nie potrafi ożywić martwych konwencji. Można je tylko ukazać. Ale wtedy trzeba sobie zdać sprawę z tego, że są to konwencje martwe. Być może, kiedy Szekspir pisał swe kroniki, historia Anglii wieku XV, wciąż jeszcze pulsowała życiem, a namiętności królów i lordów były namiętnościami ludzi żywych. Dziś jest to historia. Ten, kto chce poznać historię, czyta „Dzieje Anglii" Mauroisa, a nie Szekspira, Lordowie ocaleli, ponieważ poezja pozostaje. Brońmy poezji przed prozatorskim trzynastozgłoskowcem historii.

Wystawiając na scenie Teatru Jaracza „Króla Henryka IV", Aleksander Bardini zrobił wszystko, aby ocalić poezję.

Te jakże nieliczne momenty, kiedy rozświetla ona surowe i przez przepływ lat zamrożone obrazy kroniki, zostały wypunktowane z wielką starannością. Sceny historyczne natomiast mają w tym spektaklu, coś z oschłości i umowności staroangielskich ballad. Przyznajemy, że czyhały na reżysera niebezpieczeństwa rozliczne. Przy jego i kierownika literackiego dobrych chęciach, znalazłyby się na pewno „aktualne" i „polityczne" powody, dla których właśnie tę kronikę należałoby wystawić. Jest ona w pewnym sensie pochwałą czy też obroną silnej — a sprawiedliwej — władzy królewskiej i stąd zapewne w programie spektaklu, znalazł się nawet cytat z przemówienia Władysława Gomułki. Poza niepotrzebnie chyba wtrąconym dowcipem, (kiedy to szekspirowscy rzezimieszkowie napadają na swoje ofiary z dobrze nam znanym okrzykiem: „Kup pan cegłę!") nie znalazłem jednak innych prób zaktualizowania tekstu.

Nie było więc rewelacji politycznych. Były natomiast rewelacje aktorskie. Cały spektakl stał pod znakiem starcia dwóch indywidualności: Ludwika Benoit (Król Henryk IV) i Andrzeja Szalawskiego (Harry Percy). Było to jednocześnie starcie dwóch koncepcji postaci, dwóch stylów. Ludwik Benoit zbyt chyba daleko posunął się w próbie uwiarygodnienia psychologicznego swej postaci. Nie grał Króla Henryka. Był nim w każdym słowie i geście. I starał się zrobić wszystko, aby widzowie w to uwierzyli. Wydaje mi się, że ta rola — przez brak dystansu do postaci — zaważyła na całym przedstawieniu, z jej przyczyny utrzymanym w niejed-

Ludwik Benoit w roli Henryka IV

Rys. M. Wiśniewski

(Dokończenie na str. 5)

Rys. Rolf Totter

NIEWIERNI

W roku 1957 w pociągach hinduskich użyto ponad 1000 razy hamulca bezpieczeństwa. W 84 procentach osoby, które użyły hamulca, wyjaśniały, iż uczyniły to, by przekonać się, czy pociąg rzeczywiście zostanie zatrzymany.

DÓNITZ DZIAŁA

Karl Dönitz, były admirał i ostatni prezydent III Rzeszy, wziął niedawno w Essen udział w pogrzebie admirała w stanie spoczynku, Hermana Bauera i wygłosił mowę na cześć zmarłego.

KARNAWAŁ

W „Nabburger Volksboten" (NRF) ukazało się następujące ogłoszenie:

„Stowarzyszenie wojenne i kombatanckie w Nabburg. Jutro, w niedzielę, 16 lutego, w hali gimnastycznej odbędzie się Krieger-Faschingball (wojenny bal karnawałowy), na który zapraszamy serdecznie wszystkich towarzyszy wraz z ich bliskimi oraz mieszkańców Nabburga i okolic.

Otwarcie sali: godz. 18. Początek: godz. 19.

ZARZĄD"

Ogłoszenie to opatrzone było znakiem żelaznego krzyża.

DOWCIPNI

W prospekcie turystycznym reklamującym włoską wieś Torre Marina znajdujemy następującą uwagę:

„Ofiarowujemy Państwu ciszę i samotność. Droga ku wiosce dostępna jest tylko dla osłów, tak iż będziecie się Państwo czuli doskonale w naszej romantycznej, odciętej od świata okolicy".

ZE „SŁOWNIKA ZNAWCÓW ŻYCIA"

Pewien szwajcarski tygodnik drukuje stale rubrykę „Wörterbuch der Lebenskenner" (Słownik znawców życia). W jednym z ostatnich numerów znajdujemy trzy następujące myśli: „Jedyny system, gwarantujący wygraną w automacie do gry, posiada właściciel sali. Dobry szef prasowy uczyni z każdego kramarza dobroczyńcę ludzkości. Polityka w naszym stuleciu stała się powoli tak nielubiana, że dzisiaj nawet politycy uprawiają wszystko inne aniżeli politykę".

PASAŻER Z „TITANICA"?

Dowództwo oddziałów pirotechnicznych straży wybrzeża USA odkryło w górze lodowej, która ze względu na bezpieczeństwo żeglugi musiała być wysadzona w powietrze, ciało mężczyzny ubranego w smoking. Sądzi się, że chodzi tu o jednego spośród 1.500 zaginionych pasażerów „Titanica", podczas zderzenia tego statku z górą lodową w 1912 r.

EUROPA ZA DROGA

Turyści z USA, według informacji towarzystw okrętowych i lotniczych, również w roku bieżącym kierować się będą głównie do Kanady i na wyspy Morza Karaibskiego, ponieważ Europa jest dla nich zbyt droga. Podczas gdy w 1928 roku 45 procent amerykańskich turystów wędrowało do Europy, obecnie liczba ta spadła do 37 procent.

JAYNE MANSFIELD NA... ANTARKTYDZIE

Oficerowie amerykańscy, którzy odwiedzili radziecką bazę naukową „Mirnyj" na Antarktydzie, po przybyciu do Christchurch w Nowej Zelandii opowiadali zgodnie o niezwykle serdecznym przyjęciu, z jakim spotkali się u Rosjan. Kapitan G. I. Ketchum powiedział: „W Mirnym nie ma żelaznej kurtyny. Rosjanie traktowali nas jak dawno niewidzianych braci i pokazywali nam wszystko". Podobno Amerykanie zjedli góry kawioru i wypili potoki wódki, natomiast Rosjanom — kiedy goście i gospodarze zaczęli wymieniać podarunki — bardzo się podobały zdjęcia roznegliżowanej Jayne Mansfield.

OSTATNIE ŻYCZENIE SKAZAŃCA

Były urzędnik nowojorskiego więzienia Sing-Sing opowiedział o pewnym skazańcu, któremu musiał zameldować o odrzuceniu jego prośby o ułaskawienie i o tym, że następnego dnia zostanie on stracony na krześle elektrycznym. Zapytawszy skazanego, co życzyłby sobie na ostatnią wieczerzę, usłyszał odpowiedź: „Proszę o talerz grzybów!". Dlaczego właśnie grzybów?" — zdziwił się urzędnik. „Zawsze jadałbym grzyby z chęcią — powiedział skazany — gdyby nie to, że bałem się zatrucia"...

DWA WIELBŁĄDY

Pewien duński radioamator oraz południowo-arabski książę, obaj zapaleni miłośnicy tego samego radiowego hobby, od dłuższego czasu prowadzili na falach krótkich wzajemną wymianę poglądów, poświęcając w szczególności wiele miejsca obyczajom jutlandzkim i orientalnym. Kiedy książę Talal usłyszał, że jego północny przyjaciel ma tylko jedną żonę, na falach eteru pomknęły natychmiast ku Danii słowa współczucia. Talal zaoferował też Duńczykowi swoje dwie nowe, młode żony — i był szczerze zdumiony, że jego propozycja nie spotkała się z aprobatą. Sądząc zapewne, że Duńczyk ocenił prezent jako zbyt skromny, obiecał mu przesłać... dwa wielbłądy.

„KTO TU UMARŁ?"

Niedawno dziennikarze, stale urzędujący w Bonn, zostali zaalarmowani widokiem flagi, spuszczonej do pół masztu na budynku Bundestagu. Być może, że swym zawodowym nosem poczuli już w powietrzu powiew śmierci, jako że Adenauer i Heuss są ludźmi bardzo podeszłymi w latach. Rzucili się też do telefonów, bombardując pytaniami biuro prezydenta. Tymczasem biuro, zaskoczone inwazją korespondentów, udzieliło dopiero po dłuższej chwili prozaicznego wyjaśnienia. Otóż dwóch robotników, których zadaniem było wciągnięcie flagi na maszt, zrobiło sobie w trakcie tej pracy przerwę śniadaniową...

AMATORZY PRZECIW AMATOROM

„Corriere della Serra" donosi, że malarze amatorzy z 28 krajów urządzili w Trieście wystawę, na której zgromadzono blisko 5.000 obrazów. Malarze ci uznali siebie za „czystych amatorów" i wypowiedzieli się przeciwko amatorskiemu malarstwu abstrakcyjnemu.

WŁOSI — BRUKOWCY

Wyniki ankiety ogłoszonej przez „Corriere della Serra" wywołały zaniepokojenie w literackich kołach Rzymu. Okazało się, że 74 proc. Włochów kupuje i czyta tylko brukowe powieści kryminalne. Dzięki ogromnym nakładom wydawcy „literatury" tego typu zbijają wielkie fortuny.

ROZSTRZELONE WYSIŁKI

W jednym osiedlu Marles les Mines na krańcu północno-zachodnim zagłębia węglowego Pas de Calais, jednym z najliczniejszych skupisk polskich we Francji istnieje aż 20 polskich organizacji różnego rodzaju a oto wykaz tych organizacji: Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół", Towarzystwo Teatralno-Humorystyczne „Mazepa", Koło Rezerwistów i b. Wojskowych, Koło Śpiewu „Słowik", Zjednoczenie Hodowlane, Bractwo Kurkowe, Koło Muzyczne „Chopin", Chór Kościelny „Harmonia", Bractwo Różańca Żywego, Towarzystwo św. Franciszka, Towarzystwo Parafialne św. Stanisława, Drużyna Harcerska, Koło Przyjaciół Harcerzy, Krąg Starszoharcerski, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej — żeńskie i męskie, Koło Seniorów i Seniorek KSMP.

CO GORSZE: BOMBY CZY DOLARY?

Nowojorskie Metropolitan Museum of Arts zakupiło w Belgii za sumę 375.000.000 franków francuskich stary tryptyk, który rzekomo wykonał Robert Campin w roku 1420.

Sprzedaż ta wywarła żywą reakcję w belgijskich środowiskach artystycznych. Dwadzieścia dwa dzienniki zamieściły deklarację, która między innymi głosi, że „w czasie pokoju straciliśmy więcej zabytków sztuki, niż w wyniku działań wojennych w latach 1940—1945".

POBOŻNY

Pan Jean Vancek, mieszkaniec Paryża, pewnej niedzieli wysłuchał pięciu mszy w różnych kościołach. Kiedy wchodził już do szóstego kościoła, został zatrzymany przez policję. W kieszeni znaleziono u niego 80 tys. franków, skradzionych ze skarbonek kościelnych.

FARMA POD NADZOREM POLICJI

Olbrzymie złoża szmaragdów odkryte zostały przypadkowo na terenie pewnej farmy w odległości 300 km od Salisbury (Rodezja). Jasper Mizengeli zwrócił uwagę na kamienie, którymi jego dzieci bawiły się w pobliżu domu. Zbadał on uważnie kilka spośród tych kamieni i spostrzegł ze zdziwieniem, że były to... olbrzymie szmaragdy. Rząd Rodezji, zmartwiony, iż odkrycie to mogłoby spowodować spadek cen szmaragdów, zażądał wstrzymania dalszych poszukiwań. Strefa wokół farmy, obejmująca 750 km kw. pilnowana jest przez patrole policyjne.

Periodyczny Konkursik „Golono—Strzyżono" pt.

Czy jesteś spostrzegawczy?

nr 1

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że oba rysunki są identyczne. Po dokładniejszym obejrzeniu okazuje się jednak, że rysunek po lewej różni się od rysunku po prawej 8 szczegółami.

Poszukaj tych szczegółów, zakreśl je kolorowym ołówkiem, następnie wytnij oba rysunki, dołącz nazwisko, imię i adres i nadeślij do redakcji „ODGŁOSÓW" w kopercie z napisem: periodyczny konkursik „Golono-strzyżono", a w nagrodę otrzymasz cenną książkę.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Sobie a guzom

PRZEZ TARGOWE PAWILONY POD APERITIFEM

1.

Na Krajowe Targi Wiosenne do Poznania pojechałem, jak to mówią sportowcy, w rezerwie. Nijak bowiem nie mogłem znaleźć amatora na ten wojaż wśród kolegów po piórze. Przez trzy dni kokietowałem zaproszeniem ministerialnym, ale każdy odwracał się ode mnie, znacząco pukając się w głowę. Ktoś mnie w końcu rozbroił argumentem, że nie warta jego skórka za wyprawkę, czyli że ten wyjazd nie może się opłacać...

Pojechałem tedy, jako rzekłem, w rezerwie. I w rezerwie się trzymałem podczas przecinania wstęgi. W pewnej chwili jednak — mimo woli — znalazłem się w dziejowej awangardzie. Chciałem cofnąć się na rozpaczliwy głos spikera, wzywający lud do pawilonu sąsiedniego, ale było już za późno. Tłum rodaków wciągnął mnie do środka, rwąc jak potok — w stronę jadła i picia.

Nie spostrzegłem, jak wmieszano mnie w orszak oficjeli. Jedna pani zza lady, w białym kitlu mimo znacznej odległości wzięła mnie za ministra i podała kielich zielonego soku. Druga pani podstawiła dorsza a la łosoś. Kielich, owszem, udało mi się chwycić, ale dorsza sprzątnął mi sprzed nosa jakiś cisnący się od tyłu parweniusz. Mogę tedy tylko o kielichu.

Otóż kielich pełen był wspaniałego napoju. Już na dźwięk jego zachodniej nazwy — aperitif — zaczęło mi się mącić w głowie. A kręciło mi się coraz bardziej w miarę smakowania zawartości zgrabnych buteleczek oraz w miarę studiowania etykiet. Firma Mazovia. APERITIF — Lim-cherry, zaw. alk. 19°, poj. 0,25 l, cena 17.30. APERITIF — Orandziu, zaw. alk. 17° poj. 0,25 l, cena 17.80. APERITIF — Grapetif, zaw. alk. 18,5°, poj. 0,25 l, cena 21.70...

Mimo trwogi na myśl, co bym zrobił, gdyby mi kazano płacić — piłem z nabożeństwem. Świadom wagi tej historycznej degustacji. Wszak ten napój ma zbawić Polskę. Od nadmiernej konsumpcji spirytusu, wódki gatunkowej i czystej!

Kiedy miałem już aperitif w czubie (okazuje się, że trzy pojemności 0,25 tego europejskiego napoju znakomicie zastępują ćwiartkę polskiej czystej) pomyślałem ze spokojem, że jednak aperitify Polski nie zbawią. Bo Polacy — naród praktyczny — wolą pić szklankami niż wiadrami i że w związku z tym pozostaną jednak przy czystej. I że polską drogę od alkoholizmu propagować trzeba raczej w haśle Centrali Mleczarskiej: „Kto sery je i kefir pije, ten humor ma i długo żyje".

Kiedy zaś pod dobrym apertifem oglądałem pokaz „Telimeny", pomyślałem, że degustacja to mimo wszystko rzecz dobra. Co prawda, najpierw człowiek jest zdegustowany, lecz potem tylko już żałuje, że w degustacji tej nie dano popróbować mu modelek.

2.

Obejrzałem tedy pawilony targowe pod aperitifem. Czegóż nie dostrzegły moje szklane oczy! A więc wspaniałości w stoisku „Argedu". Ze trzy typy zagranicznych lodówek, sprowadzonych do Poznania w celach rozpłodowych. Ze dwa typy maszyn do szycia, kształtnych, gibkich jak nasze młode krawcowe. Kilkanaście typów naczyń kuchennych z mas plastycznych, których nie dostaniesz w sprzedaży nawet po znajomości. Patrząc na te zagraniczne cacka nijak nie potrafiłem sobie przypomnieć, kto w wywiadach prasowych zapewniał, że na Targach będą wystawione tylko artykuły, które może w każdej ilości zamówić handel.

Potem obejrzałem pawilon meblowy. W pawilonie zaś — połowę skrzyń i landar. Lecz landary i skrzynie wszystkie były na wysoki połysk. A ten połysk łzę w mym oku kręcił. Pod tą łzą zaś wszystkie siły umysłu natężałem by pojąć, jak ktoś nazwać mógł landary rewolucją w naszym meblarstwie.

Podziwiałem także bogactwo stoisk „Centrogalu", WZSP i innych skrótów przejrzystych. Konfekcyjne wspaniałości wydawały mi się swojskie, znajome, bliskie. Aż nazajutrz dyrektor łódzkiego Pedetu, gdyśmy pili aperitif w ramach prywatnej degustacji, uprzytomnił mi, że w większości są to przecenione remanenty, czyli mówiąc po ludzku — buble.

Obok bubli na pięterku widziałem — cuda — zabawki. Ot tramwaik ,który sam jeździ po szynkach, napędzany niewidzialnym a prawdziwym prądem. Wokół niego tłum ludu, patrzący jak na sputnika. I wyczekujący na wypuszczenie tramwaiku na miasto, do sklepów. Przystanąłem tedy i ja, by poczekać. I pobawić się trochę targami, jak inni.

3.

W tej zabawie, między aperitifami były, rzecz jasna, przerwy. Podczas przerw tych wielu dobrych ludzi przemeblowywało mi poglądy na targi.

Jeden z nich jest właśnie specjalistą od mebli. Kiedy rozgorączkowany grzmiałem: jak mogliście dopuścić do pokazu te spółdzielczo-rzemieślnicze landary z Pipidówek, zgasił mnie malutką cyferką: wszak te Pipidówki dostarczają 47 proc. krajowej produkcji meblowej na rynek. Kiedy grzmiałem: to jest zalew najczystszej dulszczyzny, podpowiedział mi spokojnie, w jakiej szerokości geograficznej żyjemy. Że te skrzynie — landary, to nie tylko kwestia gustów, ale właśnie życia i jego warunków. Gdzieżże mają nasze panie przechowywać zimowe ciuchy? Szaf i szafek w ścianach budować nie możemy, trzeba byłoby bowiem kraść tysiące izb z nowego budownictwa... Wyprzeć ten „wysoki połysk" tworzywami sztucznymi? Mitologia! Przecież te tworzywa są ośmiokroć droższe od klasycznych oklein. (1 m kw. okleiny — 0,5 dol. tyleż samo tzw. formiki — dol. 4). I dlatego na czas pewien jeszcze skazani jesteśmy na landary.

Jak skazani byliśmy na taki a nie inny zestaw targowych eksponatów. Wszak to pierwszy krok dopiero na drodze przemeblowywania naszego handlu. Przestawiania go w ogóle z dystrybucji na rynek, rządzony prawami popytu i podaży. Podaż mimo skoków wręcz milowych (oglądałem przecież mnóstwo artykułów nowych, wprowadzonych ostatnio, bądź wprowadzanych do przemysłu i na rynek — w tym rozliczne typy maszyn rolniczych i bogaty asortyment produkcji ubocznej przemysłu kluczowego) wciąż nie nadąża, popyt zaś wcale nie maleje.

Oto na Krajowe Targi do Poznania zjechało przedsiębiorstwo galanterii luksusowej „Lubgal" z Lublina. I przywiozło artykuły rewelacyjne. Tak np. przepiękne swetry męskie z japońskiej wełny. Jakościowo te sweterki (w cenie ok. 700 zł) mogą się równać z francuskimi. W ciągu dwóch dni „Lubgal zawarł transakcje na 30 milionów zł. Z czego wniosek, że do końca targów mógłby ich zawrzeć na ćwierć miliarda. Ale zdolność produkcyjna „Lubgalu" wynosi zaledwie 50 milionów rocznie.

Po co tedy przyjeżdżaliście na targi? — pytałem. Mogliście te Wasze wspaniałości „opchnąć" inną drogą. Na to mój rozmówca wyciągnął taki drobny przedmiot z podręcznej teczki. Był to nowy polski wynalazek nylonowego zameczka błyskawicznego. Bardzo cenny artykuł antyimportowy. Mój rozmówca znalazł go właśnie na targach i w żaden inny sposób by nań prawdopodobnie nie trafił.

Ów zameczek błyskawiczny zupełnie mnie otrzeźwił. I pozbawił resztek rezerwy, z jaką na te targi przyjechałem.

Chciałaby dusza do raju

Rzecz ciekawa — rewia, jako pewien gatunek teatralny odrodziła się po wojnie właśnie w Łodzi — mieście brzydkim, ale „stylowym", mieście tysięcy zapracowanych ludzi, spragnionych lekkiej rozrywki. Pojęcie „kultura" jest bardzo szerokie, obejmuje zarówno programy teatru eksperymentalnego i lekką estradę, powieść psychologiczną i kryminalną, książkę dla młodzieży i popularne koncerty w Filharmonii, malarstwo Gierymskiego i dobrą jazzową muzykę. I chyba chodzi właśnie o to, azeby każdy członek społeczności znalazł w „produkcji kulturalnej" coś dla siebie, żeby rozmaite rodzaje kultury i rozmaite jej poziomy nie wykluczały się i nie „warczały" na siebie złowrogo. Rzecz jasna — konieczne jest zastrzeżenie — co innego dbałość o zapewnienie beztroskiej, czasem nawet niespecjalnie „głębokiej" rozrywki, a co innego — walka o poziom artystyczny, walka ze szmirą. Tej szmiry nagromadziło się tak dużo, że nie wystarcza zwalczanie jej środkami administracyjnymi. Nie wystarcza też publicystyka i „głosy oburzenia". Ludzie spragnieni są beztroskiej rozrywki.

Czy Rewia nr 2 jest rozrywką? — Na pewno. Pozwala spędzić dwie godziny w atmosferze piosenki, jazzu i tańca. Pozwala obejrzeć ładne „rewiowe" kostiumy, choć może trochę za skąpe. Nie bądźmy purytanami — nie zawali się linia polityczna, jeżeli kilka ładnych dziewcząt zaprezentuje na scenie zgrabne nogi. REWIA w Łódzkiej Operetce pozbawiona jest niesmacznych gierek, kładzie nacisk na stronę artystyczną, nie uderza w te struny ludzkiej natury, które raczej wolelibyśmy pozostawić w spokoju... Rewia jest rewią — trudno od niej wymagać, ażeby poruszała np. problematykę społeczno-moralną. Otóż jak na rewię, i to zrobioną przecież skromnymi środkami, zadanie swoje wypełnia. Niech już lepiej chodzą ludzie na rewię niż na „Krzyżaków" w wykonaniu znanego w Łodzi „Teatru Kuźnica" albo na „Żyda w beczce".

Wątek fabularny rewii jest banalny i ubogi — ale też stanowi tylko pretekst, stwarza za to możliwości pokazania „aniołów" i „diabłów", kilkunastu tańców i piosenek. Teksty — niestety — nienajlepsze, są niewątpliwie najsłabszą stroną widowiska. Czy rzeczywiście nie możemy się w Łodzi zdobyć na teksty dowcipniejsze i bardziej pomysłowe? Poważne zastrzeżenia budzi momentami inscenizacja (w I części) a reżyseria wskazuje na braki doświadczenia w tym gatunku teatralnym.

Są to jednak braki do usunięcia i nie zmieniają faktu, że rewia jest potrzebna, rewia cieszy się powodzeniem u łódzkiego (i katowickiego, gdzie Teatr ostatnio bawił) widza. Na dowód przytaczamy... zdjęcie, które niedawno wykradziono z gablotki Łódzkiej Operetki. Jest to zdjęcie Hanny Dobrowolskiej, czołowej „gwiazdy" Rewii nr 2. Wracamy do czasów kiedy wielbiciele Ordonki wyprzęgali konie z powozu i sami ciągnęli dyszel...

J. T.

Państwowa Operetka w Łodzi — Rewia „Chciałaby dusza do raju" reżyseria i inscenizacja — Janusz Rzeszewski, opr. muz. Władysław Rossa.

W OBRONIE POEZJI

Dokończenie ze str. 3

Państw. Teatr im. Jaracza. W. Szekspir „Król Henryk IV". Obraz 9. Jerzy Walczak (ks. Walii), Ludwik Benoit (Król Henryk IV)

nolitym stylu. Przy tym jednak, monologi Króla Henryka zostały przez Benoit powiedziane tak pięknie, że owo załamanie koncepcji spektaklu gotów jestem pochwalić. Na widowni panowała cisza, rzadko w teatrach łódzkich spotykana.

Andrzej Szalawski wydawał mi się bliższy koncepcji reżysera. Nie kazał nam wierzyć w szczerość swoich uczuć i potrafił zachować ów dystans i wyczucie konwencjonalności tekstu, tak niezbędne przy realizacji postaci szekspirowskich. Do szaleństw Percyego Hotspura, odnosił się z dużą rezerwą psychiczną i grał prawie bez wnętrza. Jego pierwsza scena z Lady Percy (Urszula Modrzyńska) miała w sobie coś z cyrku i ferii i została odegrana tak przez niego, jak i przez Urszulę Modrzyńską, z pełną wiedzą o tym, że oboje znajdują się na scenie teatru. Była to najlepsza scena w całym przedstawieniu. Nie byłem nigdy w teatrze „The Globe" (to nie moja wina), ale siedząc na widowni Teatru Jaracza, pozostawałem przez chwilę pod wrażeniem, że grają przede mną aktorzy trupy Ryszarda Burbadgea.

Wbrew dość powszechnej tradycji sceny ludowe wypadły znacznie słabiej, niż obrazy rozgrywające się w salach zamkowych czy na polu bitwy. Nie było w nich nic z wielkiej zabawy, nic z festynu. Mówiąc jaśniej, reżyser nie zrealizował w nich tej koncepcji wystawiania Szekspira, którą przekładam nad inne. Chwilami prawie nudne, sceny te wypełnione zostały bieganiną i okrzykami Jerzego Walczaka i Zbigniewa Józefowicza. Ten pierwszy czuł się zresztą o wiele lepiej w roli szlachetnego Księcia, niż w roli rozpustnika i hulaki. Niewątpliwie dłużyzny ratował tu Stanisław Łapiński. Daleki od gierek i szarży, nie grał tym razem roli, którą grywał zawsze. Był doskonałym Falstaffem. W konwencjach farsy sekundował mu dzielnie Włodzimierz Skoczylas.

Jarosław Marek Rymkiewicz

Państwowy Teatr Jaracza w Łodzi. Wiliam Szekspir — Król Henryk IV. Część I. Przekład K. I. Gałczyński. Insc. i reż. A. Bardini. Scenografia W. Sieciński. Muzyka T. Baird.

Straszny sen królowej Saby
czyli wiary nie dawaj książętom

(Dokończenie ze str. 1)

— Zadziwiasz mnie — odparła królowa. — Wydaje mi się, że nasza rozmowa trwać będzie zbyt długo, by można ją prowadzić, gdy ty idziesz pieszo, a ja jadę. Mój wielki wezyr zsiądzie i ustąpi ci osła.

Wielki wezyr niechętnie spełnił życzenie królowej.

— Przypuszczam — powiedziała Saba — że twoje rozmowy z Salomonem dotyczyły głównie spraw państwa i zagadnień głębokiej wiedzy mądrości. Ja, jako królowa również niepozbawiona tej cnoty, także poruszałam z nim powyższe tematy, lecz niektóre z naszych dyskursów — w każdym razie tak pochlebiam sobie — obnażyły jego strony mniej znane, jak sądzę, tobie niż mnie. A niektóre z najlepszych swoich myśli utrwalił on w księdze, którą ofiarował mi przy rozstaniu. Księga ta zawiera wiele piękna, na przykład uroczy opis wiosny.

— Aaa! A czy w opisie wiosny jest mowa o głosie żółwia?

— Zaiste jest — odparła królowa. — Skąd wiedziałeś?

— Wiedziałem, po prostu. Salomon lubi się chwalić, że potrafi dosłyszeć na wiosnę głos żółwia i zawsze o tym mówi.

— Niektóre z jego komplementów — podjęła królowa — sprawiły mi szczególną przyjemność. W drodze do Jerozolimy ćwiczyłam się w języku hebrajskim, ale nie byłam pewna, czy opanowałam go odpowiednio. Dlatego sprawił mi radość, gdy powiedział: „Twoja mowa jest słodka".

— Bardzo miło z jego strony — zgodził się Belzebub. — A czy również dodał, że skronie Miłościwej Pani posiadają delikatność skóry granatu?

— Tak, ale... To niesamowite! W istocie tak powiedział i pomyślałam nawet, że to dziwne porównanie. Ale skądże tyś to odgadł?

— Wszyscy wielcy ludzie mają swoje słabości, jak ci wiadomo, pani, a jego interesują specjalnie granaty.

— Prawdą jest — powiedziała królowa — że niektóre z porównań Salomona brzmią co najmniej dziwnie. Wyraził się, na przykład, że moje oczy są jak stawy rybne.

— Słyszałem jeszcze dziwniejsze z jego porównań. Czy kiedykolwiek wspomniał, że nos Miłościwej Pani przypomina mu Wieżę Lebańską?

— Nie do wiary! — zdumiała się królowa. — To już zbyt wiele. W istocie uczynił to porównanie. Zaczynam wierzyć, że masz bardziej intymne źródło informacji, niż mogłam przypuszczać.

— Obawiam się, Miłościwa Pani — odpowiedział Belzebub — że to, co powiem, sprawi Jej głębokie rozczarowanie. Otóż znałem dobrze niektóre z żon Salomona i od nich zyskałem tak dokładne wiadomości.

— No dobrze, ale ten poemat miłosny?

— Z tym sprawa jest taka: kiedy Salomon był jeszcze młody i żył jego ojciec, musiał stosować więcej zachodów. W owych czasach zakochał się w cnotliwej córce farmera i jedynie dzięki poetyckim talentom pokonał jej skrupuły. Doszedł potem do wniosku, że szkoda by było aby to, co napisał, poszło na marne, i każdej z następnych dam swojego serca wręczał jedną kopię poematu. Miłościwa Pani z pewnością zauważyła, zwiedzając pałac, że Salomon jest właściwie kolekcjonerem. Każdą z kobiet przekonywał, że stoi najwyżej w jego uczuciach, i kolejno włączał do zbiorów. A ty, Miłościwa Pani, jesteś ostatnią i najcenniejszą z jego zdobyczy.

— Ach, co za potwór! — wykrzyknęła królowa. — Nigdy już nie nabiorę się na perfidię mężczyzn.

— O pani — uspokajał ją Belzebub — nie daj się ponieść nadmiernej rozpaczy, gdyż Salomon jest nie tylko najmędrszym mężczyzną swojego królestwa, ale także najmędrszym ze wszystkich mężczyzn na świecie, i przetrwa jako taki poprzez niezliczone wieki. Być oszukanym przez niego, nie przynosi wstydu.

— Może masz rację — odparła królowa — jednakże rana zadana mojej dumie długo będzie się bliźnić.

— Słodka królowo — odezwał się Belzebub — jakże byłbym szczęśliwy, gdybym przyśpieszyć mógł ten proces. Daleki jestem od naśladowania wybiegów perfidnego monarchy. Z ust moich płynąć mogą jedynie proste słowa dyktowane uczuciami serca. Tobie, Niezrównany, Niedościgniony, Nieskazitelny Klejnocie Wschodu, tobie gotów jestem ofiarować, jeśli mi pozwolisz, wszystko, co uznasz za godne siebie.

— Twoje słowa są kojące — odparła królowa — ale czyż możesz prześcignąć bogactwo podobne Salomonowemu? Czy masz pałac równy jego pałacowi? I suknie pełne aromatów myrry? A przede wszystkim, rzecz znacznie ważniejsza niż wszystko poprzednie, czy twoja mądrość jest równa jego mądrości?

— Piękna Sabo — odparł. — Mogę odpowiedzieć twierdząco na każde z tych pytań. Przechodząc jednak do poważniejszych uchybień Salomona. Gdy ciebie zobaczył, pani, powiedział: „Nie ma nic nowego pod słońcem". Czy wątpisz jeszcze, że w myślach porównywał cię, okazując brak szacunku, do córki farmera, którą znał w młodości? I czy można uważać za mądrego człowieka, który poznawszy ciebie, nie potrafi natychmiast zrozumieć, że oto zobaczył nowy cud świata, cud piękności i dostojeństwa?

Z uśmiechem — po części rezygnacji w odniesieniu do przeszłości, po części w obliczu rodzącej się nadziei na szczęśliwą przyszłość — królowa spojrzała na Belzebuba i powiedziała:

— Twoje słowa są kuszące, Odbyłam długą podróż ze swojego królestwa do królestwa Salomona i sadziłam, że zwiedziłam już wszystko warte poznania na tej ziemi. Ale jeśli mówisz prawdę, twoje królestwo, twój pałac, twoja mądrość przewyższają wszystko, co posiada Salomon. Chętnie przedłużę podróż i zwiedzę twoje państwo.

W momencie tym przybyli nad olbrzymią pieczarę na zbocze góry.

Trzymając wysoko zapaloną głownię Belzebub prowadził długimi tunelami i krętymi korytarzami. Wreszcie znaleźli się w wielkiej sali oświetlonej niezliczonymi lampami. Ściany i sklepienie jarzyły się drogocennymi kamieniami, których szlifowane krawędzie odbijały światła lamp. Wokół ścian stało godnie trzysta srebrnych tronów.

— Co za wspaniały pałac — powiedziała królowa.

— Ach, nie — zaprzeczył Belzebub. — To jedynie moja drugorzędna sala przyjęć. Obecnie zobaczysz, pani, Główną Salę Recepcji.

Otwierając dotychczas niewidoczne drzwi wprowadził królową do następnej sali, przeszło dwa razy większej niż pierwsza, przeszło dwa razy jaśniej oświetlonej i przeszło dwa razy bogatszej w drogocenne kamienie. Wokół trzech ścian tej sali stało siedemset złotych tronów. Pod czwartą ścianą lśniły dwa trony zbudowane wyłącznie z drogocennych kamieni — brylantów, szafirów, rubinów i wielkich pereł,

Rys. M. WIŚNIEWSKI

spojonych razem w sposób dziwny, którego królowa nie potrafiła zgłębić.

— To jest moja wielka sala — powiedział. — A z dwóch drogocennych tronów jeden jest mój, a drugi będzie twój.

— Ale kto — zapytała królowa — zasiadać ma na siedmiuset złotych tronach?

— Tego się dowiesz, pani, w odpowiednim czasie.

Kiedy to mówił, królewska sylwetka prawie tak samo wspaniale odziana jak królowa Saba, weszła do sali i zajęła pierwszy ze złotych tronów. Ze zdumieniem królowa Saba poznała pierwszą żonę Salomona.

— Nie spodziewałam się jej tu spotkać — odezwała się z lekkim drżeniem w głosie.

— Jak widzisz, pani, mam na swe usługi tajemne siły. Gdy uwodziłem ciebie, tej oto drugiej damie także wyjaśniałem, że Salomon nie jest wcale tak wspaniały. Przekonały ją moje słowa, jak i przekonały ciebie, więc przyszła.

Ledwie skończył mówić, gdy następna dama, którą królowa Saba poznała w czasie wizyty u Salomona, weszła do sali i zajęła drugi ze złotych tronów. Potem weszła trzecia, czwarta, piąta, aż w końcu zaczęło się zdawać, że procesja kobiet nigdy się nie skończy. Wreszcie wszystkie siedemset tronów było zajęte.

— Być może zastanawiasz się — zauważył Belzebub jedwabistym głosem — kto zasiądzie na trzystu srebrnych tronach. Już zasiadło trzysta konkubin Salomona. Tysiąc dam znajdujących się w obu salach wysłuchało z moich ust obietnic, których i ty wysłuchałaś. Udało mi się przekonać wszystkie, i wszystkie tu przyszły.

— Perfidny łotrze! — wykrzyknęła królowa. — Jakże mogłam pozwolić się oszukać po raz drugi! O, moja naiwności! Od tej chwili rządzić będę sama, żaden mężczyzna mnie nie omota. Do widzenia, wstrętny potworze! Jeśli kiedy postawisz stopę w moim królestwie, spotka cię los, na jaki zasłużyłeś swoją przewrotnością.

— Nic z tego nie będzie, pani! — odparł Belzebub. — Obawiam się, że nie zdajesz sobie sprawy z własnej sytuacji. Pokazałem ci drogę do pałacu, ale tylko ja znam drogę powrotną. To jest królestwo śmierci, zostaniesz tu na wieczność — ale wieczności nie spędzisz na drogocennym tronie u mojego boku. Tron ten wolno ci będzie zajmować, póki nie przyjdzie na twoje miejsce bardziej boska królowa, ostatnia królowa Egiptu.

Słowa te wywołały w królowej taką wściekłość i rozpacz, że się obudziła.

— Obawiam się — odezwał się wielki wezyr — że Miłościwa Pani miała nieprzyjemne sny.

BERTRAND RUSSELL

BERNARD SZTAJNERT

Czytanie Kafki

Ja znam tej prawdy legendę,
Co w każdym życiu powraca.
I ja byłem prokurentem
W ogromnym banku świata.
I ja na próżno błądziłem
W gwarnym pustkowiu wieku
I ja nie wejdę na Zamek
I ja nie wygram Procesu.

LUCYNA BRUCHNALSKA

NIE NAPISAŁAM...

Ciemną ulicą ścigała mnie policyjna godzina.
Mój bagaż: książka, słonina i szesnaście lat.
Książka — okazja, mała i cienka, najlżejsza
do niesienia:
„Gałąź kwitnąca" — Leopold Staff.
W pieśń czasu —
W chrapliwy głos szczekaczek:
„Niemcy walczą i zwyciężają na wszystkich
frontach!" —
Wmieszał się zapach lasu,
Zabłysła przestrzeń zielona i czysta.
Zniknął smak dymu w ustach, choć szłam
poprzez zgliszcza:
Ujrzałam świat strzelisty jak kolumna. —
Myślałam:
Kiedyś noc będzie ciszą błyszczącą od świateł,
Pajęczyny oplotą mrok w schronie —
Wtedy odnajdę adres i napiszę,
Że mnie Twych słów serdecznych dosięgnęły dłonie.
A później nie miałam odwagi...

LESZEK WITCZAK

Sąd nad moją osobą

Najpierw złośliwe słowiki
ułożyły anonim do wiosny.
Nie wierzyłem nigdy słowikom
ale żeby tak bez litości!
Potem wyrok podpisały kwiaty
w noc majową na rozprawie tajnej
(nie wpuszczano nawet prasy)
a broniły mnie tylko konwalie.
Za lenistwo głupie wiersze i życie
puste. W imię sprawiedliwości.
Sąd wiosenno-polowy orzekł:
dożywotnia katorga miłości.

RZECZY ZMYŚLONE

MARIAN PIECHAL

O sądach i

W życiu, jak zwykle, mieszają się sądy z przesądami. Ale, a propos, jak odróżnić jeden od drugiego? I co to w ogóle jest sąd, a co przesąd? O, tu już, psia para, trudniejsza sprawa. Jak zwykle w każdej sytuacji, kiedy przychodzi do ścisłego i jednoznacznego określenia, co jest czym? Odpowiedź na to pytanie wydaje się z pozoru, jak zwykle, bardzo łatwa. Na przykład: sowa jest czym? Ptakiem. Ale dopiero teraz, jak zwykle, zaczyna się prawdziwa trudność. Bo, dajmy na to, kiedy mąż nazwie żonę sową, to wtedy słowo to niekoniecznie oznacza ptaka. Wprawdzie mąż, psia para, może się tłumaczyć, że nazywając tak żonę miał na myśli rajskiego ptaka, ale żona, jak zwykle, nie da się nabrać na takie wykrętne tłumaczenie. I następuje, jak zwykle, ruch wałka albo kupno nowego kapelusza.

Tak więc po odpowiedzi na pytanie, co jest czym, powstaje, jak zwykle, nowe pytanie, co jest tym, co jest, a jeżeli nie jest tym, to czym i dlaczego? I tak ad infinitum czyli do bezkonieczności, jak mówią Rosjanie. Bo rzecz cała na tym, psia para, polega, że ta sowa, to pojęcie, jak zwykle, dwuznaczne: dosłowne i przenośne. Zresztą w przypadku męża z żoną w obu znaczeniach, jak zwykle, obraźliwe. Nie jest to słówko à deux fins, jak mówią Francuzi, ani ad captandam benevolentiam dam, jakby powiedzieli starożytni Rzymianie, ale raczej amfiboliczne, jakby powiedzieli antyczni Grecy.

Uff, ileż to słów obcych trzeba użyć dla wyjaśnienia przenośnej treści jednego swojskiego! Oto dlaczego w życiu, jak zwykle, mieszają się sądy z przesądami. Ale co to jest sąd? Sąd, to jak ktoś na sowę powie, że to ptak. A przesąd? Jak ktoś na żonę powie, że to sowa. A niestety, psia para, ludzie, jak zwykle, chętniej wierzą w to drugie. Tak samo jak wierzą, że pegaz to koń, ale że koń to pegaz — nie wierzą. Dla nich pegaz to koń ze skrzydłami, który fruwa, ale zwykły koń bez skrzydeł, który ciągnie wóz albo pług, to nie pegaz. Tymczasem ci, którzy jeżdżą na tych pegazach, twierdzą co innego, a mianowicie, że pegaz to taki koń, psia para, co to wprawdzie ma skrzydła i fruwa górą, ale jednocześnie i zarazem ciągnie dołem po ziemi naładowany codziennymi sprawami ciężki wóz albo przeorujący głęboko tę całą codzienność naszą szarą równie ciężki pług.

Tak jest, o talencie tu mówię, bo w sądach o nim, jak zwykle, najwięcej przesądów. Talent to nie fruwanie, to przede wszystkim orka, a ludzie, psia para, myślą, że wprost przeciwnie. I zgodnie z tym swoim zastarzałym, a szkodliwym wielce przesądem, sądzą, że ludzie utalentowani lekko fruwają, a nie ciężko orzą. I stosownie do tego, jak zwykle, lekko osądzają i lekce ich ważą. I mniemają, psia para, że natchnienie bez żadnego wysiłku z ich strony samo z nich tryska. A tymczasem — jak powiada Tomasz Mann — „tryska tylko partaczom i dyletantom, łatwo zadowolonym i nieświadomym, którzy nie żyją pod uciskiem i rygorem talentu. Bo talent, panowie i panie, tam daleko, w parterze, talent nie jest czymś łatwym, igraszką, nie jest po prostu umiejętnością. W istocie jest potrzebą, krytyczną wiedzą o ideale, nienasyceniem, które sobie swą umiejętność nie bez udręki dopiero stwarza i wzmaga. I dla największych, dla nienasyconych, jest ich talent najostrzejszym biczem". A nasz pewien krytyk, sam co prawda bez talentu, Karol Irzykowski, powiedział, że największym tyranem ludzi utalentowanych, to

EDWARD KOZIKOWSKI

W GORZENIU GÓRNYM U ZEGADŁOWICZA

Grupa „Czartaka" wystąpiła na widownię po raz pierwszy w roku 1922, wydając zeszyt czasopisma pod powyższą nazwą. Założycielami grupy byli: Emil Zegadłowicz, Jan Nepomucen Miller i Edward Kozikowski. W artykule programowym podano, że „Polska niepodległa musi się zdobyć na nową sztukę"... „na podłożu duchowej czystości, rzetelności, prawdy, zachwytu i olśnienia przed wiecznościowymi perspektywami życia narodu wolnego". I dalej: „nie przez poezję czynu, lecz przez prozę pracy idziemy do sztuki" itd., itd. Na skutek rozdźwięków ideologicznych J. N. Miller zgłosił wystąpienie z grupy. Przyp. autora.

Po ostatecznym wycofaniu się Jana Nepomucena Millera z grupy „Czartaka", co nastąpiło definitywnie w sierpniu 1923 roku, a w liście Emila Zegadłowicza do mnie z dnia 8 września tegoż roku znalazło następujące omówienie: „Miller napisał srogi list — odpisałem mniej więcej tej treści, że gdy i tym razem zejście się nasze nie dało rezultatu — więc? — mam wrażenie, że gładko się sprawa rozmydli" — zostaliśmy na placu boju we dwóch; Zegadłowicz i ja. Wprawdzie pewne zainteresowanie grupą „Czartaka" okazywał Stanisław Baczyński, ale było to raczej zainteresowanie chłonnego, o otwartych oczach krytyka, nie zasklepiającego się w kręgu spraw minionych i dokonanych, lecz poszukującego stale materiału do rozważań w nowych rodzących się prądach poetyckich. Zegadłowicz doceniał talent Baczyńskiego jako krytyka i liczył na to, że zainteresowanie grupą „Czartaka", jakie okazywał w rozmowach zę mną, skłoni go może do zgłoszenia akcesu do naszego ugrupowania. Posunął się nawet tak daleko, że uważał go na podstawie moich listownych enuncjacji za zbratanego z „Czartakiem". I tak w liście do mnie z dnia 16 października 1923 roku pisze Zegadłowicz: „Wielce rad jestem, że się z nami stowarzyszył Baczyński — „Sztuka walcząca" [1]) świadczy o bardzo dalekich wnikliwościach". Szkic Baczyńskiego o najmłodszej poezji polskiej pt. „Syty Paraklet i głodny Prometeusz" [2]) wydaliśmy wprawdzie nakładem „Czartaka", ale dość szybko zorientowaliśmy się, że wciąganie tego autora do bliższej współpracy w samej grupie „Czartaka" nie wyszłoby nam na dobre, przeciwnie, stworzyłoby w łonie grupy źródło fermentu i nieporozumień. Baczyński był osobnikiem o wybujałej i neurastenicznej megalomanii, z którym porozumienie na dłuższy dystans było niemożliwe. Wszelkie dyskusje z nim kończyły się przeważnie ostrymi starciami, po których wychodził obrażony i całymi tygodniami nie pokazywał się na oczy. Każdą próbę polemiki podejmowaną przez nas z jego wywodami uważał za wrogie wystąpienie i traktował jako obrazę osobistą. Bez żalu przeto zrezygnowaliśmy z jego współpracy w „Czartaku", ograniczając się do wydania pod wezwaniem naszej grupy wspomnianej już broszury o najmłodszej poezji polskiej.

W Gorzeniu Górnym u Zegadłowicza bywało wiele osób, zwłaszcza porą letnią. Gorzeń, oddalony od Wadowic niespełna cztery kilometry, był celem wycieczek różnych ciekawskich, przeważnie płci żeńskiej. Chciano na własne oczy zobaczyć, jak też wygląda poeta, który takie piękne wiersze napisał o powsinogach beskidzkich i jak przedstawia się gospodarka ową majętnością, którą odziedziczył po swoim ojcu, księdzu ruskim. Niewątpliwie wycieczka piesza do Gorzenia w słoneczny dzień letni należała do nie byle jakich atrakcji, zarówno dla stałych mieszkańców Wadowic, jak i dla sezonowych przybyszów.

Wśród odwiedzających Gorzeń gości znalazły się i córki ówczesnego dyrektora gimnazjum wadowickiego, Jana Dorozińskiego. Najstarsza z nich, Janina Brzostowska, w przygodnej rozmowie z Zegadłowiczem przyznała się, że i ona pisze wiersze i pewnego dnia przyniosła cały kajet płodów swej muzy. Gdy w sierpniu 1923 roku zjechałem swym dorocznym zwyczajem do Gorzenia na urlop miesięczny, otrzymałem od Zegadłowicza do przejrzenia kajet z wierszami Brzostowskiej i po przewertowaniu go oświadczyłem, że mamy do czynienia z zapowiedzią niepowszechnej miary talentu, a że jest przy tym autentyczną beskidzianką, należy ją wpisać co prędzej do bractwa czartakowego. Tego samego zdania był Zegadłowicz. Gdyśmy w parę dni później opowiedzieli Brzostowskiej o rezultacie naszej narady i wysunęliśmy propozycję doszlusowania do naszych szeregów, poetka przyjęła tę wiadomość nie bez entuzjazmu i przystała do naszej grupy. W taki to przypadkowy sposób powiększyliśmy skład zespołu poetów beskidzkich — o jedną osobę i to kobietę. „Poetessa", jak ją nazwał Zegadłowicz, okazała się dobrym kolegą i wcale zdyscyplinowanym towarzyszem. Z czasem poznałem jej ojca, uroczego i interesującego człowieka, rozmiłowanego, sądząc z autorstwa wydanej książki [3]) w zagadnieniach z zakresu psychologii. Doroziński zresztą pisał i wiersze. Wydał nawet pod pseudonimem Juliana Mroka tom głębokich, pięknych i pełnych bezpośredniości utworów poetyckich.[4]) Książka nosiła wymowny tytuł „Z woli przeznaczeń" i poświęcona była ukochanej istocie,

Rys. Z. Pronaszko

którą śmierć zabrała. „Póki gwiazdy na niebie — pisał Mrok — lądy, morza na ziemi, już Ty nigdy nie spojrzysz na mnie oczy swojemi! Nie obrócą się nigdy nitscheańskie pierścienie; powrót rzeczy — spotkanie po lat krociach: marzenie! Nie powtórzy się nigdy przeminonych lat era, raz jedyny się żyje, raz jedyny umiera".

Do naszej trójki doszedł w tym samym mniej więcej czasie jeszcze jeden poeta, Tadeusz Szantroch, rówieśnik Zegadłowicza, który w okresie Młodej Polski, bo w roku 1906, debiutował zbiorem wierszy.[5]) Potem w czasie wojny światowej, odbywając służbę wojskową, wydał dwa tomiki poezji legionowych.[6]) Jako nauczyciel został przez kuratorium przydzielony do gimnazjum wadowickiego, przypomniał sobie z dawnych akademickich lat o Zegadłowiczu, wybrał się któregoś wiosennego dnia do Gorzenia i po rozmowie z Emilem został czartakowcem. Zegadłowicz, pisząc do mnie o tym wydarzeniu, popuszcza, jak to miał w zwyczaju, cugle fantazji: „A zaś rozszerzając krąg dwu serc — w kwadrę nas czterech — widzę, że zagadnienie rozwiązania kwadratury koła jest finalnie rozwiązane! — Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego! — I tak **musi** być na każdym kroku! — Miłość bezwzględną sobie ofiarując — nauczymy się wszyscy (a to trudna nauka! bardzo trudna!) dawać ją w bezgranicznej rozrzutności! — I dlatego stanowimy już epokę! — Że to dziś jeszcze jest niewidoczne — to zupełnie naturalne!"

Kiedyś w czasie wspólnego pobytu w Gorzeniu zapadła uchwała, aby wydać wspólnymi siłami almanach poetycki pod wezwaniem „Czartaka". Zabraliśmy się do roboty żywo i ochoczo. Zaszczytną misję napisania słowa wstępnego powierzono mej osobie, co też uczyniłem z właściwym sobie entuzjazmem. W artykule tym starałem się uzasadnić, że „poezja, będąca wyrazem uczuć naszych, jest poezją naszych czasów i naszej ziemi". „Nie tworzymy — pisałem — poezji lokalnej czy partykularnej, bo wolno nam ukochać jakiś skrawek ziemi, zasobny w piękne tradycje przeszłości, który utrzymał się w ramach tych nieprzemijających legend dzięki mocnej indywidualności tej ziemi. Z najwyższych szczytów tej Republiki Górskiej chcemy rozsiewać światło na wszystkie cztery strony świata, w myśl odwiecznej prawdy, że wszelka radość idzie z gór".

Ponieważ oficyna drukarska słynnego Fr. Foltina w Wadowicach, w której Zegadłowicz odbijał swoje książki, była typografią o skromnych możliwościach, druku almanachu dokonano w Warszawie. Mieszkając w stolicy, musiałem zająć się wszystkim: redakcją, stroną graficzną i samym drukiem. W grudniu 1924 roku pokaźny tom, liczący 112 stron druku, wyszedł wreszcie spod prasy. Nie będę się ze swej strony rozwodził na temat wydanej książki, ograniczę się do wypowiedzi Zegadłowicza w liście do mnie z dnia 22 grudnia 1924 roku: „Książka wypadła b. dobrze!! — należa Ci się gorące uściski za Twą pracę i uganiaczkę!"... „Przytaczam Ci zdanie K. Sosnowskiego — pisze (15. XII. br.) — „rzecz jest zaiste w treści i formie wspaniała, toteż pozwolę sobie wyimkami ilustrować mój opis Beskidu Małego"... — „J. Wiktor pisze: (18. 12. br.) — „...toż to książka do modlenia, której każde słowo należy całować jako grudkę świętą — świętą grudkę serca; — najbardziej ucieszyła mnie wiadomość o kaplicy Arian. Należałoby odprawiać pielgrzymki do tych świętych miejsc — „ — Z zachwytem pisze też Wł. L. Jaworski".

EDWARD KOZIKOWSKI

1) Stanisław Baczyński „Sztuka walcząca". Lwów 1923 r. Poznań. Nakładem Wydawnictwa Polskiego.

2) Stanisław Baczyński „Syty Paraklet i Głodny Prometeusz" (Najmłodsza poezja polska). Wydawnictwo „Czartak". Kraków — Warszawa. 1924 r.

3) Jan Doroziński „Zarys psychologii elementarnej". Kraków. 1925 r.

4) Julian Mrok „Z woli przeznaczeń". Poezje. Kraków. 1924 r.

6) Tadeusz Szantroch „Poezje". Kraków. 1906 r.

7) Tadeusz Szantroch „Z lutni żołnierza" 1916 r. i „W zorzach krwi" 1918 r.

TYLKO DLA NAIWNYCH!

przesądach

właśnie własny ich talent. Szczęśliwy, on nie miał tyrana!

Talent to zdolność, owszem, ale zdolność, która nie ułatwia, lecz zobowiązuje. Im większy talent, tym wcale nie łatwiejsza, lecz trudniejsza i droga jego, i praca, bo głębsza i odpowiedzialniejsza — nie tylko wobec teraźniejszości, ale i przeszłości, a przede wszystkim przyszłości. A ludzie, jak zwykle, myślą akurat odwrotnie. Że im większy talent, tym większe ułatwienie, tym mniejsza praca, a już jak najmniejsza odpowiedzialność. I mówią, psia para, że ten czy ta ma talent, to jemu czy jej łatwo idzie, to on czy ona mniej musi się wysilać, mniej pracować! Stąd cały wysiłek i pracę, i trud zwalają na partaczy czyli najmniej uzdolnionych, którym w biurach i w urzędach, i na stanowiskach zadowolenie ze wszystkiego, i tani optymizm, i wiara w rychły socjalizm najłatwiej tryska, bo bez specjalnego trudu i mozołu przychodzi im ta praca siedzenia i ten mozół nic nierobienia ani ręką, ani nogą, ani zwłaszcza głową. Słowem — przesąd to sąd pozbawiony osądu.

I tak to wskutek tych głęboko zakorzenionych przesądów naszych, w popularnych sądach naszych o ludziach utalentowanych wyrządzamy ogromną, a niepowetowaną szkodę społeczeństwu naszemu całemu, i narodowi naszemu całemu, i dziejom naszym całym społecznym i narodowym. Bo nie doceniamy, jak zwykle, i wysiłku, i trudu, i mozołu ludzi utalentowanych w społeczeństwie, i w narodzie, i w dziejach naszych całych, a tylko cenimy i przecenianiamy partaczy i mozół jałowy ludzi nieutalentowanych czyli nie dostosowanych swymi uzdolnieniami do swych warsztatów i biur, i urzędów, i stanowisk, zaś z drugiej strony nie wykorzystujemy ludzi utalentowanych, jak należy, i lekceważymy, jak zwykle, wagę ich ważności w powszednim życiu całym i w procesie postępu całego, który to proces postępu bez wyplenienia, psia para, przesądów z sądów naszych o wadze i ważności talentów, czyli uzdolnień, czyli pracy, i trudów, i mozołów twórczych całych naszych, a wskrzeszenia wydatniejszej, niż dotąd opieki twórczej całkowitej naszej nad nimi, nie uda się, bo — psia para! — postęp to nic innego tylko praca plus talent. A praca spotęgowana talentem, to już nie przesąd, ale rozsądek czyli, jak zwykle, sprawiedliwy osąd sądu i przesądu.

BIBLIOTEKA POETÓW - 1957

9 POETÓW + 9 PLASTYKÓW = 9 TOMIKÓW

Wydawnictwo

J. HUSZCZA	M. JAESCHKE	MIŁOŚCI
W. SŁOBODNIK	H. POULAIN	DZIEŃ POWSZEDNI
		PODRÓŻE
		WYIMAGINOWANE
L. GOMOLICKI	Z. GŁOWACKI	CZAS SPOPIELAŁY
A. KASPROWICZ	Z. OGRODOWCZYK	POEMAT ŁÓDZKI
H. SAFRIN	A. ŁOBODZIŃSKI	OŚLA SZCZĘKA
Z. KOSIŃSKI	S. FIJAŁKOWSKI	PORT EGZOTYCZN'
M. OCHOCKI	A. STARCZEWSKI	NIE MA JERZEGO
J. M. RYMKIEWICZ	L. KUNKA	KONWENCJE
J. SKOSZKIEWICZ	K. ZIELIŃSKI	NA KRAWĘDZI CZASU

Wydawnictwo

Cena kompletu wraz z płócienną obwoluta zł 30.—

Łódzkie (wytnij i prześlij) Łódzkie

Zamawiam „BIBLIOTEKĘ POETÓW" i proszę o przysłanie za zaliczeniem pocztowym

.....
(Imię i Nazwisko)

.....
(miejscowość — poczta)

.....
(ulica, Nr domu)

DRUK

Znaczek za 20 gr.

WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE
ŁÓDŹ
Piotrkowska 117

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka", Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł. kwartalnie 12 zł. oraz PUPIK „Ruch", Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 6-379 z zaznaczeniem „na „Odgłosy". Druk „Prasa", Łódź, Żwirki 17. Zam. 965. III. 58. M-4.

Ustąp miejsca starszemu.

NIEOCZEKIWANY WYROK

Richelieu umiał zachować zimną krew nawet wobec powabnej markizy de Reveillon. Razu pewnego uwodzicielska markiza spytała:

— Czy książę nie zechciałby mianować mego męża inspektorem skarbu?

Książę spojrzał badawczo na zalotną kobietę:

— Madame, dlaczego aż tak wysokie stanowisko?

Markiza z udanym zakłopotaniem:

— Ponieważ mam... kochanka.

— Nie rozumiem, madame.

— Mój mąż powinien być przez cały dzień zajęty.

Richelieu z życzliwym uśmiechem:

— Ech, przecież mówią, że najlepszą porą na miłość jest noc. Będzie więc lepiej, jeżeli mianuję pani męża — nocnym stróżem.

— Dziękuję, nie palę. Mój ojciec obiecał mi 25 tysięcy franków, jeżeli nie będę paliła do 18 roku życia.

RACJA DWÓCH

Po udanej prapremierze rozentuzjazmowana publiczność burzliwie oklaskiwała obecnego na widowni autora sztuki, Bernarda Shawa. Nagle ktoś z galerii krzyknął:

— Mister Shaw! Sztuka była zła.

Sala umilkła. Shaw uniósł głowę i rzekł z uśmiechem:

— Zupełnie podzielam pańskie zdanie. Ale, czy zdołamy we dwójkę przekonać o tym całą publiczność?

WESTCHNIENIE KAPELANA

Tom Swain był kapelanem statku „Rutland". Podczas silnej burzy na pełnym morzu spytał jednego z oficerów:

— Czy grozi nam wielkie niebezpieczeństwo?

— Jeżeli będzie tak wiało, jak teraz, to przed północą będziemy już w niebie.

— Niech nas Bóg od tego uchowa — westchnął przerażony kapelan.

BITWA MORSKA XVIII WIEKU

Jean Frederic de Maurepas, minister Ludwika XV i Ludwika XVI, opisał bitwę morską w następujący sposób:

— Dwie przeciwstawne eskadry wypływają z dwóch różnych portów; manewrują na pełnym morzu, w końcu spotykają się i nawiązują walkę. Pociski obalają pewną ilość masztów, rozdzierają żagle na strzępy, uśmiercają ludzi. Armaty zużywają do tego celu dużą ilość prochu i kul. Następnie każda z eskadr odpływa w kierunku portu macierzystego i twierdzi o sobie, że odniosła zwycięstwo. Pozostałe przy życiu załogi śpiewają „Te Deum", a morze jest w dalszym ciągu takie słone jak było przedtem.

EWA NAGURSKA

Kolonia przez żółte okulary

Kiedy podróżujący Polak przekracza granicę Niemiec Zachodnich, z miejsca dostaje obuchem w głowę. Bogactwo zdaje się płynąć ulicami. Wszystko jest dla wszystkich. Wielkie magazyny nie mieszczą towarów we wnętrzu, muszą z nimi wychodzić na ulicę. Samochód można kupić już za 1.500 DM. Oszołomiony przybysz najpierw się zachwyca, potem zaczyna zazdrościć, aż wreszcie stawia gorzkie pytanie: kto tu właściwie jest zwyciężony?

Nie dziwny się zresztą Polakowi. Pewien Francuz z Lille przez cały tydzień pobytu w Kolonii zgrzytał zębami, coś sobie ważył i porównywał. Cóż, bogactwo nigdy nie budzi szczerej sympatii, w wypadku Niemiec tym bardziej. A nie da się ukryć, że Niemiecka Republika Federalna jest obecnie jednym z najbardziej bogatych krajów Europy. Nie należy tylko patrzeć na to bogactwo przez różowe okulary.

Spróbujmy na chwilę zmienić je na... żółte. Prawdą jest, że w Niemczech można kupić wszystko, prawdą też jest, że w chwili obecnej Niemcy podróżują najwięcej, a szczególnie tanie i gęsto obsadzone są wycieczki studenckie. Ale prawdą też jest, że przeciętne komorne pochłania jedną czwartą pensji. Żywność jest droga, bardzo droga, a kultura jeszcze droższa (dla przykładu — bilet do Opery kosztuje tyle, ile wynosi miesięczna opłata za czteroosobowy pokój w domu akademickim).

Żółte okulary pozwolą nam na sprowadzenie jeszcze jednego mitu do właściwych rozmiarów. Chodzi mi o mit kultury. Chciałabym się zastrzec, że mówić będę na podstawie obserwacji środowiska studenckiego — a więc tylko małego wycinka tego, co się składa na obraz kultury narodu.

Zasugerowani bardzo wysokim poziomem cywilizacji skłonni jesteśmy zazwyczaj utożsamiać ją z kulturą. Tymczasem — to są różne rzeczy. Spójrzmy jak mają się sprawy z kulturą młodzieży niemieckiej.

Przez cały tydzień mojego pobytu w Kolonii starałam się znaleźć osoby interesujące się teatrem studenckim, teatrem „w ogóle" lub filmem w sposób choćby trochę czynny. Szukałam czegoś w typie studenckich Teatrów Satyry. „Bimbomu", czy „Teatru 38", jakiegoś odpowiednika naszych, niezupełnie słusznie osławionych Dyskusyjnych Klubów Filmowych, jednym słowem — inicjatywy studenckiej w tej dziedzinie. Wreszcie ostatniego dnia pobytu dzięki wysiłkom pewnego życzliwego studenta prawa dotarłam do miłej panienki, przedstawicielki stowarzyszenia „Kunst im Hörsaal". Grupa ta studiuje teatrologię i pod kierownictwem profesora przygotowuje i wystawia sztuki, przeważnie typu klasycznego. Długa rozmowa z panną Stegh wykazała jasno, że studenckie zainteresowanie sprawami kultury ma w przeważającej części charakter bierny, a nie czynny i twórczy. Piszę to nie dlatego, żeby twierdzić — „nie martwcie się, oni wcale nie są tacy mądrzy", ale żeby wykazać, że my wcale nie jesteśmy tacy głupi, i załamywanie rąk z wymownym westchnieniem nie bardzo ma sens. Pod jednym tylko względem (ciągle w dziale kultury) zostajemy daleko w tyle, haniebnie daleko — pod względem kultury osobistej.

I wreszcie sprawa najżywiej interesująca wszystkich — sprawa „ich" stosunku do „nas".

Nie potrzebuję i nie czuję się zresztą na siłach pisać o wszystkich drażliwych problemach, na jakie ciągle napotykamy w rozmowach z Niemcami — przypomnę tylko, że po wojnie dodatkową kwestią drażliwą stały się prawie wszystkie tematy dotyczące Zw. Radzieckiego. Jedynie sputnik zyskał tam pełną aprobatę. Sprawy polsko - niemieckie komplikują się jeszcze bardziej, kiedy wypływa sprawa stosunku wzajemnego NRD i NRF. W rozmowach z gościnnymi gospodarzami — studentami Kolonii, wprawdzie najczęściej mimo woli, zjeżdżało się na tematy polityczne i gospodarcze, wypady takie jednak kończyły się nierzadko taktownym wycofywaniem się obu stron, trudno więc z urywków zdań budować gmach poglądów.

Są jednak pewne rzeczy niewątpliwe. Taką niewątpliwą sprawą jest (przypominam — mowa o młodzieży akademickiej), częsta niechęć do munduru, niechęć do wojska i wojny. Notabene większość z moich rozmówców widzi rozwiązanie kwestii granicznych i politycznych (łącznie z Odrą i Nysą) w realizacji idei Stanów Zjednoczonych Europy. Spotkałam się też ze zdaniem, że próby rewizji granic niemiecko - polskich prowadzą do ponownej wędrówki milionów ludzi, co byłoby zbrodnią popełnioną na kraju i społeczeństwie.

Rozsądne? Na pewno.

Ponad wszelką wątpliwość stwierdzić można, że Polska i Polacy spotykają się w Nadrenii z dużą życzliwością. Rozmowy naszej delegacji na ulicach czy zresztą w jakichkolwiek większych skupiskach ludzi budziły serdeczne uśmiechy, uprzejmą życzliwość — na pewno nie zorganizowaną. Znamienne, że kiedy ogłoszono szczegóły transakcji zawartej między Polską a USA (spłacanej w złotych) do przyjaźni dołączył się pewien ton szacunku. — Cóż, handlowy naród, umiał ocenić wagę tego kroku.

A na zakończenie chcę zburzyć jeszcze jeden mit — nie zawsze i nie wszyscy Niemcy są śmiertelnie pracowici i nudni. Przynajmniej nie Nadreńczycy. Karnawał przeobraża stateczne matrony w podfruwajki, ojców rodzin w dzikich Indian, a młodzież... wystarczy powiedzieć, że nasz przyjaciel Jean (ów zgrzytający zębami Francuz z Lille) po balu medycyny stwierdził autorytatywnie, że tak swobodnych obyczajów we Francji się nie spotyka. Nas na ogół bal nie zaskoczył, nie takie rzeczy widywało się w Polsce (ściślej: w Łodzi), my tylko łkaliśmy cichutko we własnym gronie, widząc karnawałowe szaleństwa, trwające przez okrągły tydzień i porównując z łódzkimi Juwenaliami — gdzie nam do nich! Czyżbyśmy byli mniej skorzy do zabawy i śmiechu niż Niemcy? Łodzi, obudź się! Nie bądź ponura!

Tyle ode mnie. Rzeczą czytelnika jest uzupełnienie tego obrazu posiadanymi wiadomościami albo intuicją. Jedno jest pewne: wciąż jeszcze wiemy za mało o sobie.

HELENA DUNIN

Ze starych kronik

Smutne dzieje pana Pawła Łodzi-Kubowicza

Czytamy w księgach kościelnych łowickich, w sprawozdaniu księdza-wizytatora z wizytacji Łodzi z roku 1633:

„Kościół tamtejszy ozdobił Paweł Łodzia-Kubowicz, który przez liczne lata był żołnierzem. Cały prawie swój majątek podarował on kościołowi. Między innymi ofiarował monstrancję, dwa krucyfiksy, kielich srebrny i naczynia ze srebra, 320 złotych polskich na wybudowanie organów. Wielki ten dobrodziej kościoła zabity został przez nocnego zbójа".

Tyle mówi autentyczna notatka, pisana po łacinie. A oto jak na tym tle osnuła się ciekawa łódzka legenda, odbiegająca oczywiście w wielu momentach od historycznej prawdy, którą od zapomnienia uchronił i pamięci łódzkiej przekazał Wiktor Dłużniewski, opowiedziawszy ją w formie wierszowanej gawędy i wydając ją w druku w 1857 roku w Warszawie.

Stare to, dawno zamierzchłe były czasy, gdy jeden z przodków Pawła, Kuba Mazur, w czasie walk z Turkami przez cesarza Zygmunta łódką wysłany na ratunek wodza wojsk cesarskich, Zawiszy Czarnego, nie samego Zawiszę, który dumną cesarzowi przesłał odpowiedź:

„Ci, co się zlękli, niech uciekają,
Polacy chlubną śmierć przekładają..."

ale tylko pierścień jego przez Dunaj łodzią przewiózł i cesarzowi oddał.

Od owej łodzi, którą przywiózł cesarzowi pierścień i odpowiedź Zawiszy, otrzymał Kuba herb „Łodzia". I od niego właśnie wywodził się Paweł Łodzia Kubowicz, właściciel miasteczka i dobrodziej kościoła.

Mężny to był i dzielny wojak, rycerz nieugięty. Chorążym wojsk polskich za cesarzów Dymitra i Maryny był, z Żółkiewskim u bram Warszawy stanął, za Batorego, przed wzięciem Połocka, ranę otrzymał. W osobistym życiu nie znalazł jednak pan Chorąży szczęścia. Szybko odumarła go żona.

„...po jednym roku zamęścia,
Darząc go córką, zgasła mu żona,
Dziecko w dom wzięła siostra rodzona..."

Owa siostra Kubowicza była żoną Jakuba Rogowskiego z Rogów pod Łodzią, który „Łódź-miasteczko" od Kubowicza dzierżawił. Dziewczynka, Urszula imieniem, chowała się zdrowo, ale ojciec rzadko ją widywał, bo go przez długi szereg lat

„wojenna chwała
na pole bitwy ciągle wzywała..."

A tymczasem dziecko rosło, aż wreszcie i dorosło, równocześnie z córką Rogowskich, którą też wkrótce za sąsiada Jacka za mąż wydano. Wielki to był zawadiaka, pijak i rozpustnik. Pod jego wpływem rozpił się stary Rogowski, żona jego z rozpaczy umarła, a młodziutka Urszula sama, na łasce swych opiekunów, wśród wielu udręk, niepokojów i przykrości została. Na próżno w gorących modłach o życie ojca i powrót jego, z pól cecorskich do domu, Boga prosiła — chorąży znaku życia nie dawał, natomiast z innej strony szczęście zaczęło się do niej uśmiechać. Znany jej już dawniej młody Podstolic miłością ku niej zapłonął, a gorąco wzruszony „stanem cierpienia sieroty biednej" prawym jej opiekunem zostać i za żonę pojąć ją zapragnął. Nie w smak to było i Rogowskiemu, i kompanowi jego, Jackowi. Jacek miał syna, Włodzia, i umyślił sobie, że całą majętność po chorążym, którego za umarłego miano, dla jedynaka swego zagarnie, jakżeż więc można przystać na zamążpójście dziewczyny?

Gdy pewnego razu Podstolic ze swym orszakiem zajechał do dworu rogowskiego w odwiedziny, obaj zmówieni i pijani niemal do nieprzytomności — teść i zięć — skrzyknąwszy licznie poddanych,

„dom otoczywszy, za danym znakiem,
Podstępnie gościa z jego orszakiem
I rozbroili, i ukarali..."

Srodze poturbowany Podstolic zmarł „w niedziel kilka", a wkrótce po nim zgasła w rozpaczy pogrążona Urszula.

W kościele łódzkim odprawia się właśnie nabożeństwo żałobne. Dzień pogrzebu Urszuli. Kapłan,

Rys. M. Wiśniewski

mający mowę pogrzebową, wzywa Boga, by zesłał mściciela „krzywdy sierocej". I oto nagle spośród zebranych tłumów wysuwa się wyniszczona, jakby grobowa postać. To pan Chorąży, Paweł Kubowicz, który po 19 latach niewoli tureckiej do domu powrócił. Przerażenie zdjęło Rogowskiego i zięcia jego Jacka; boją się pomsty Chorążego za swe czyny, a więcej jeszcze boją się utraty za swoją już uważanej majętności. A Chorąży, zanim stanął w żałobnym pochodzie za trumną swej córki — woła:

„Łotry! Nadeszła doba
Naszych rachunków. Patrzcie, jam żywy!
To was przeraża. Bóg sprawiedliwy!
Patrzcie, jam żywy! Czy nie widzicie?
Oto na rękach zbliźnione rany.
Które wyżarły ciężkie kajdany.
Na waszą karę — żyję. Widzicie?

Pogrzebawszy córkę, dniami całymi rozmyśla Chorąży nad tym, co mu uczynić należy i rozpamiętując swe nieszczęścia, wpatrzony w portrety przodków, postanawia zapisać Łódź zamiast krewnym kościołowi.

„Za dary, które Bóg zlewał łaskawie
Na nasz ród, w cnotach i poczciwej sławie —
Niechaj dziedziczy kościół nasze mienie...
Oto zapłata, donamus et satis
Za chciwość krewnych, et pro peccatis
Za śmierć Urszuli..."

Ale oto którejś nocy przez okno komnaty, w której się Chorąży znajduje, pada strzał. Rażony w głowę Chorąży pada martwy. Zbir porywa z szuflady sekretarzyka papiery i ucieka.

Sprawcy zbrodni dowiadują się z nich, że testament Chorążego przy świadkach spisany, w sądzie „oblatowany" jest na rzecz kościoła. Ogarnia ich rozpacz. Jacek wypija dzban okowity i spala się na miejscu, a Rogowski wybiera drogę pokuty. Po trzydziestu latach odnajduje go przypadkiem jako pustelnika „wśród starodrzewia starego boru", gdzieś między Łodzią a Zgierzem, jego wnuk, dorosły już oczywiście mężczyzna, Włodzio, który w głąb puszczy dzikiej za zwierzem się w czasie łowów zapędził.

Stary, wynędzniały Rogowski, butny, bezlitosny i z hardości swej ongiś znany, bogaty dziedzic Rogów — pokutuje tu, na śmierć oczekując, za swe winy i grzechy.

A teraz sprawdźmy, co w tej opowieści jest prawdą, a co legendarną fikcją. Więc przede wszystkim wiadomo, że bohater jej, pan Paweł, nie był szlachcicem, lecz synem bogatego mieszczanina. Jako młodzieniec wyjechał na studia do Krakowa i został tam zaimatrykułowany jako „Paweł syn Jakuba Kuby z Łodzi, z diecezji gnieźnieńskiej", wzniósłszy zapłatę wpisowego groszy dwa. Po sześciu latach studiów, w roku 1583, zdobywa stopień bakałarza. Szereg lat potem spędza na wojaczce. Kościół w Łodzi istotnie obdarował, a następnie zapisał na jego dobro prawie cały swój majątek, natomiast nie budował go i nie ofiarował miastu. Małżeństwo jego jest wątpliwe. Siostrę, imieniem Zofia, miał istotnie, w rzeczywistości jednak była ona żoną mieszczanina łódzkiego, Stanisława Nowaczka.

Zginął tak jak w legendzie śmiercią gwałtowną, nie wiadomo jednak z czyjej ręki.

Podstawowe założenie prawdy — tak jak to często bywa — rozwija się więc na tle czysto legendarnych zdarzeń.

Fragmenty z przygotowywanej do druku książki o Łodzi, p. t. „Ważne i mniej ważne".

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILUSTRACJE JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

W ruinach sulejowskiego opactwa zmarł nagle Pronobis, sędziwy bibliograf i zbieracz ekslibrisów, krytykowany przez redakcję „Bibliofila Polskiego". Przyjaciele Pronobisa, poeta Nataniel i Tomasz, publicysta „Bibliofila Polskiego", sądzą, że śmierć ich przyjaciela została przez kogoś spowodowana. Podejrzewają o to dwóch tajemniczych „białych mnichów", którzy odwiedzali Pronobisa, i młodą, ładną kobietę, nazwaną „Czarna Milady", która szukała u Pronobisa testamentu Baldaricha — Bałdrzycha. Testament ten związany ze sprawą ukrytych skarbów — zginął w dniu śmierci Pronobisa.

Rozsiadłem się wygodnie w krześle, wyciągnąłem swobodnie nogi. Zdarzenie wydało mi się poważne, wymagało namysłu. Dwadzieścia lat „Przyczynek do działalności opata Piotra" przeleżał nieczytany na bibliotecznej półce i raptem po dwudziestu latach, tego samego dnia znalazł aż dwóch czytelników. Czyżby oprócz mnie ktoś jeszcze studiował dzieje sulejowskich opatów? Jakby powiedział Pronobis: „Nader rzadkie zainteresowanie w wieku rozbicia atomu". I choćby już przez sam fakt wyjątkowości warte chyba poznania tej osoby, najpewniej kobiety, jeśli nie zawiodła bibliotekarza jego pamięć...

Książka jest cienka, gęsto zadrukowana drobną czcionką. Oprócz „Przyczynku" czytała „Pamiętniki" Chłędowskiego. Kartkuję tę książkę bez nadziei, że odkryję powód zainteresowania. Zegar tyka równo, krawędzie kartek przyjemnie łaskoczą skórę palców. Nagle palec mój powstrzymuje kartki. Kilkanaście zdań odznaczonych fajeczką. I malutka wyrwana z notesu karteczka, na niej kilka słów:

DWÓR W ŁĘKACH. MEBLE. 28.XII.52 R.
Potem BORÓW.

Zajrzałem do zakreślonych „fajeczką" zdań „Pamiętników".

Ależ tak, i one opowiadają o dworze w Łękach.

„28.XII.52 r." To już za kilka dni...

„DWÓR W ŁĘKACH" Co będzie tego dnia w dworze w Łękach?

„Potem BORÓW". Co stanie się w Borowie?

„MEBLE". Meble... meble... zastanawiałem się długo wysilając pamięć.

„Meblowa historia".

I skojarzenie to wydało mi się tym prawdopodobniejsze, że przecież — wiedziałem już na pewno — nie tylko ja, Nataniel i Pronobis, interesowaliśmy się dziejami sulejowskich opatów. Istniała jakaś „młoda i ładna kobieta" poszukująca testamentu Baldarichа-Bałdrzycha, najprawdopodobniej Czarna Milady z dwójką jej dziwnych przyjaciół. Byli też jacyś tajemniczy i groźni dwaj mnisi w białych cysterskich habitach, o twarzach „jakby pochlapanych wapnem".

Interesowała nas ta sama sprawa — dzieje opatów, choć każdego z nas zapewne dla innych przyczyn. Czy może dziwić, że tropy nasze krzyżowały się z sobą, że braliśmy do ręki te same książki i nie znając się wzajemnie — natykaliśmy się na siebie?

. . . . . .

Był to wieczór nieoczekiwanych spotkań. Jadąc na przedmieście do willi mistrza Nataniela i dźwigając pod pachą owinięty w papier portret Bernarda, napotkałem w tramwaju „Babie lato". Towarzyszył jej niski brunet z artystycznie bujną czupryną, nawet utalentowany malarz, Bogumił W. Zazdrościłem Bogumiłowi jego wrodzonej elegancji, która sprawiała, że nosił się bardzo wytwornie, a każda szmatka wisiała na nim przyjemnie i ujmująco. Zazdrościłem mu łatwości, z jaką dobijał się sukcesów. Pamiętam, jeden jedyny raz w życiu napisał wiersz, a ten zaraz wszystkich zachwycił i wzbudził przekonanie, że w Bogumile marnuje się wielki poeta. O jego wystawie pejzaży długo — dobrze i źle — rozpisywała się krytyka; moja powieść miała tylko jedną recenzję. Bogumił przewyższał mnie pod każdym względem. Czyżby teraz zabrał mi dziewczynę?

Tramwaj dzwonił, jazgotał, trząsł, brzęczał szybami. Na dworze padał śnieg, pierwszy śnieg w tym roku. „Babie lato" podało mi swą drobniutką dłoń i uśmiechnęło się czule. Bogumił skłonił się nisko, milcząco.

— Wróciłaś z gór — stwierdziłem cicho.

— O tak. Wróciłam wcześniej niż zamierzałam. Pan Bogumił, to moja górska znajomość. Wy znacie się, zdaje się, od dawna.

— O tak.

— Z lat szkolnych, górnych i chmurnych — rzekł Bogumił. — Piękne to były czasy.

Bąknąłem coś na temat, że nie dla wszystkich lata szkolne były piękne. „Babie lato" zwierzyło mi się z kłopotów związanych ze zbliżającymi się świętami i „gwiazdką". Pobyt w górach przerwała, ponieważ postanowiła zostawić sobie większą część urlopu na lato. Praca w muzeum bardzo ją ostatnio nudzi, chyba niedobrze uczyniła kończąc studia w zakresie archeologii, która przyjemna w lecie, w okresie wyjazdów na naukowe badania — staje się monotonna przez pozostały czas, kiedy klasyfikuje się i opracowuje muzealne eksponaty.

Wysiedli w dzielnicy luksusowych sklepów i domów towarowych. Ledwo się z nimi rozstałem, w tramwaju mocno zapachniało konwaliami i przez ciżbę jadących przecisnęła się ku mnie pani Rita S., ciągle jeszcze niezwykle piękna, o cerze delikatnej jak skrzydło motyla i leciutko osypanej pudrem. W latach 1945—1946, w bujnych powojennych latach, była Rita S. najpowabniejszą i najelegantszą kurtyzaną wielkiego świata i prawie rok wierną kochanką mistrza Nataniela. Później poczęła uprawiać wierszem satyrę polityczną i oddawała się tej sztuce z równą namiętnością jak przedtem miłości do bogatych i pięknych mężczyzn w rodzaju Nataniela. Była wciąż jeszcze wytworna, na końcach włosów brązowych węgierskich nutrii połyskiwały mikroskopijne gwiazdki śniegu.

— Kocham cię, wiedząc, że jesteś najserdeczniejszym przyjacielem Nataniela — powiedziała na przywitanie całując mnie dyskretnie w czoło.

I zauważywszy niepewny ruch mej ręki, gorąco szepnęła do ucha:

— Nie obawiaj się, Tomaszu, moja szminka jest zagraniczna, niebrudząca...

Znaliśmy się raczej mało, ale nie było to przeszkodą dla pani Rity.

— Zbliża się „gwiazdka", Tomaszu, a nie wiem jaki teraz podarunek przesłać Natanielowi. Powiedz mi, czym się on teraz zajmuje, co czyta, jakie są jego zainteresowania?

— Studiujemy żywoty opatów z Sulejowa. Brniemy dopiero przez XIII wiek...

Westchnęła:

— Mój Boże, jakże się biedak postarzał...

. . . . . .

Mistrzowi Natanielowi zazdrościłem ogromnej swobody i niezależności, jaką dawało mu jego nazwisko — jednego z naszych świetnych poetów starszego pokolenia — i ten rodzaj już uznanej sławy, której wrogowie nie tylko nie mogą zaszkodzić, lecz przysparzają jej blasku i pieniędzy. Zazdrościłem Natanielowi swobody i niezależności wypływającej z faktu posiadania pięknego samochodu marki „Cadillac" i wspaniałej willi na przedmieściu, zastrzeżonej przed zakusami kwaterunku. Obok willi miał mistrz dość spory ogród z oszkloną altaną, o której mosiężna tabliczka, dyskretnie ukryta wśród bluszczu, głosiła wybranym gościom, iż jest to KAPLICA POD WEZWANIEM A. HUXLEY'A SCEPTYKA.

Jak ministrant doskonale orientujący się w liturgii Mszy Św. — wolno i z nabożeństwem odmierzałem swe kroki aż do drzwi domu Nataniela, skłoniłem się jego larom i penatom — kolekcji lasek w ciemnym hallu, regałom zastawionym grubymi rocznikami pism zagranicznych. Potem bezszelestnie począłem się piąć po schodach wyłożonych miękkim chodnikiem. U szczytu schodów stała afrykańska prymitywna rzeźba-mąszkara, dalej była jadalnia, wielka i mroczna, z ciężkimi meblami, i dwoje drzwi. Lewe prowadziły do biblioteki, prawe zaś za czerwoną kotarą — do pracowni mistrza. Nigdzie nie dostrzegało się ani jednego obrazu; ściany wyłożono ciemną boazerią. Cicho, grobowo, wielki stół bez obrusa stał jak katafalk otoczony sztywno rzędem krzeseł.

Opowiedziałem mistrzowi o swym spotkaniu z poetką Ritą S. Z niesmakiem potrząsnął głową:

— Doradź jej, Tomaszu, aby do swych wierszy używała strofy safickiej. To powinno ją zabić, a ty zostaniesz Walienrodem.

Ten temat został wyczerpany. Mistrz poszedł do kuchni i przyniósł do pracowni dwie filiżanki czarnej kawy. Dopiero teraz spostrzegł moją paczkę z portretem Bernarda. Był niezmiernie ciekawski, toteż nie powstrzymał się, aby nie zrobić w papierze maleńkiego okienka...

— Hm — chrząknął. — Mam przeczucie Tomaszu, że pragniesz zbezcześcić mą pamięć o przyjacielu tym strasznym malunkiem.

Obnażyłem obraz z opakowania. Postawiłem go na stole, zapaliłem wszystkie światła w pracowni. Lęk, że mogę być znowu skazany na portret Bernarda podsuwał mi słowa i poglądy, jakie dotąd nie przychodziły mi nawet na myśl:

— Straszny malunek? Zwróć uwagę na zestawienie barw. Jakże wspaniale dzięki nim oddał malarz charakter i osobowość portretowanej postaci... Przyprószony szarością zmierzchu biały cysterski habit i bielsza od niego twarz. Brunatny szkaplerz na piersi. I co za tło! Soczysta czerwień zakrzepłej krwi. Malarz specjalnie chyba wybrał porę wieczoru, aby w promieniach zachodzącego słońca najpełniej wyrazić charakter Bernarda. Być może ta czerwień jest metaforą, przy pomocy której zechciał ukazać jego krwawą duszę, jego marzenia, aby ogień oczyścił świat z grzechu ateizmu i odszczepieństwa? Przypatrz się: tło nie jest jednolite, gdzieniegdzie przebija złoto jak języki płomieni. Tak, to nie tylko barwa słonecznego zmierzchu, lecz również odblask gorejących stosów. W czerwieni blada jak papier twarz opata, chuda, pociągła, ascetyczna. Błędne, fanatyczne oczy Savanaroli. Kościste, drapieżnie zakrzywione palce. Bernard, tajemniczy opat sulejowskiego klasztoru. Ukazał go malarz z sinym od nienawiści obliczem, w stygnącej pochodni stosów pochłaniających innowierców.

— Wspaniale! Wspaniale! — szepnął mistrz Nataniel, patrząc na mnie życzliwie. — Zaczynam wierzyć w piękność tego obrazu. Związany ze śmiercią Pronobisa tym bardziej wyda mi się drogi i cenny.

Wydało mi się że nadeszła najsposobniejsza chwila, aby opowiedzieć Natanielowi o dziwnym zdarzeniu w bibliotece, o tajemniczej kartce: „Dwór w Łękach. Meble. 28.XII. 52 r. Potem BORÓW".

Mistrz przyjął opowiadanie jako zarzut pod jego adresem i począł się usprawiedliwiać.

— Nie sądź, Tomaszu, że tylko ty jeden poszukujesz zabójców Herakliusza. Przedwczoraj odbyłem samochodowy rekonesans do Przeklętnika, aby nieco szerzej ustalić związek między tą miejscowością a osobą nie znanej ci bliżej czarnej kobiety (kłamiesz — pomyślałem — pojechałeś tam do córki drwala). Niestety, podróż moja nie okazała się owocną. Przywiozłem jedynie legendę o właścicielu pięknego parku starych dębów, alei grabowej i ruin pałacu na wzgórzu. Był to ponoć szlachcic bardzo zamożny, posiadacz nieprzebranych skarbów w gotowiźnie. Samotnik, nieżonaty, bezdzietny, dziwak, wiele lat przesiedział w swym domu studiując księgi, które doprowadziły go do utraty wiary w Boga. Kler chcąc przywłaszczyć sobie majątek ponurego szlachcica wytoczył mu proces o ateizm. Ciało szlachcica złożono na stosie i spalono, prochy zaś, jak w sławnej sprawie Łyszczyńskiego, nabito w działa i „ku Tatarii wystrzelono". Dwór i pałac zrównano z ziemią, jako miejsce przez Boga i ludzie przeklęte — (stąd na pewno i nazwa Przeklętnik) — zakazano na nim budować, orać i siać po wsze czasy. Lecz, jak powiada legenda, kościół niewiele się obłowił przez śmierć ateusza. Był on bowiem ha tyle sprytny, że domyślając się oczekującego go końca, przez wierne sługi swoje ukrył gdzieś skarby i do dziś nikt ich nie odnalazł...

— Co jest motywem wielu legend — dokończyłem.

Mistrz Nataniel niecierpliwie rozgarnął dłonią powietrze odpędzając dym z papierosów.

— Chcesz poznać nazwisko przeklętego szlachcica? Nazywał się on... Baldarich-Baldrzych.

Rozdział V.

Mniszka

Następnego dnia z samego rana otrzymałem przez telefon nagłe wezwanie na nadzwyczajne zebranie kolegium redakcyjnego „Bibliofila Polskiego". Jak większość ateistów jestem człowiekiem przesądnym, śpiesząc więc do redakcji w pokorze uginałem głowę przed oczekującymi mnie kłopotami.

W gabinecie Naczelnego Redaktora członkowie kolegium oczekiwali mnie już w pełnym składzie: Naczelny Redaktor, czyli jak go w skrócie nazywaliśmy „Ten stary szympans", bo był mały, ale długoręki, łysawy, z dziwnie wypukłymi, jakby ciągle wydętymi policzkami; przed całym światem pozował na wielkiego uszczęśliwiacza ludzkości, wiedziałem jednak, że jest to cynik i obłudnik, choć przyznaję — znał się dobrze na rzemiośle dziennikarskim. Obok niego przy okrągłym „kolegialnym" stole siedział Stefan W., inaczej zwany „Serce bohatera" — partyzant z czasów wojny odznaczony niezliczonymi orderami za męstwo, w gazecie naszej prowadził dział „Teorii i praktyki", lubiłem go — był przystojny, elegancki, lecz zbyt zniewieściały. Przy nim jak zwykle na brzeżku krzesła przycupnęła towarzyszka Anna, skromnie ścisnąwszy kolana i złożywszy ręce jak do modlitwy. Ubrana zawsze na ciemno, z białym pensjonarskim kołnierzykiem, dwudziestoośmioletnia o pięknej delikatnej twarzy i gładziutko przyczesanych blond włosach, z opuszczonymi oczami, w których widziało się uduchowienie i rozmodlenie — wyglądała jak młoda mniszka z arystokratycznego domu, zapędzona do klasztoru, gdyż chciała popełnić mezalians. „Ta mniszka" mówiliśmy o niej w redakcji, lecz dalibóg, nazwa ta nie odpowiadała prawdzie.

Resztę kolegium dopełniali tak zwani „figuranci"; było ich trzech, gotowych na każde zawołanie „Starego szympansa" kiwać lub kręcić głowami. Bali się mnie, uważając, że zdolny jestem do małych podłostek.

— Drogi Tomaszu — zagaił rozmowę „Ten stary szympans". — Czy mógłbyś mi powiedzieć, jak przedstawia się sprawa Herakliusza Pronobisa?

— Nie wiem. Nie było moim zadaniem pilnować tej sprawy... — rzekłem obojętnie.

— Ach tak? Ach tak...

„Szympans" zerwał się z krzesła. Chwycił ze stołu jakąś gazetę i począł z nią biegać po pokoju kolebiąc się na krótkich nóżkach, jak przystało na prawdziwego szympansa.

— Nie mieliście takiego zadania? A kto miał? Nikt. A kto mnie dał takie zadanie? Nikt. A jednak ja śledzę tę sprawę. Proszę, proszę — to mówiąc podtykał mi pod nos gazetę, lecz kiedy sięgałem po nią, cofał ją. Musiał się wygadać.

— To jest gazeta naszych przeciwników — palnął.

Odsapnął, zwinął gazetę w rulonik i siadł z powrotem na krześle, zabierając się do dłuższej przemowy. „Figuranci" pokasływali dyskretnie, jakby oczyszczając przełyki dla oczekującej ich słownej strawy.

(dcn.)

cha! cha!

O dziele sztuki

Pewnego razu żuk, który posuwał przed sobą kulkę utoczoną z naturalnego nawozu, spotkał jelonka, wytrawnego znawcę sztuki. Jelonek zatrzymał się pełen podziwu:

— Oh, przyjacielu, toż to wspaniały twór! Jakże ta kulka krągła, barwna, pełna proporcji! Jaka miła dla oka! Twórz tak dalej, a na pewno wejdziesz do historii chrząszczów jako wielki artysta.

Co rzekłszy, pośpieszył w swoją drogę.

Żuk natomiast stał jeszcze długo, oniemały ze wzruszenia. W końcu zaczął toczyć swą kulkę dalej, z mocnym postanowieniem, by nie opierać się dłużej swemu artystycznemu powołaniu.

Jako następne dzieło stworzył jeszcze jedną kulkę, jota w jotę podobną do poprzedniej. Później jeszcze jedną i jeszcze jedną...

I gdyby mu się nie zmarło, tworzyłby do dzisiejszego dnia na tej zasadzie jedno dzieło sztuki po drugim.

O gąsienicy

Tłusta i ciężka gąsienica wspinała się po ścianie domu, aby w kryjówce na strychu przemienić się w poczwarkę. Obserwował ją uważnie pewien młody poeta, a w końcu westchnął z cicha:

— O, jak bardzo chciałbym być gąsienicą! Długo spać, i obudzić się jako piękny motyl...

RYSZARD BRUDZYŃSKI

Do opinii publicznej

Już jutro twórczość moja was wzruszy,
Uznacie, żem jest godny geniuszy
I ustawicie mnie na cokole
Jeszcze na ziemskim życia padole.
Będziecie hymny śpiewać pochwalne,
Że to co moje, to jest genialne.

Już jutro twórczość moja się zmieni,
Zbłądzi pod strzechy, tam się rozpleni,
Głośnik ją będzie szerzył na skwerze,
Zabrzmi w świetlicy gdzieś w Pegeerze,
W odcinkach dziennik ją wydrukuje,
Inny powtórzy, rozkolportuje,
„Czytelnik" wyda chyba nie raz
I moja twórczość pójdzie do mas.

Ludzie ją będą czytać pasjami
Z pożądliwością i z wypiekami —
O, bo nie myślę dla fanaberii
Hołdować dłużej pustej pruderii.

W twórczości mojej nie będzie kropek
Ni wielokropków, ni innych szopek
Jeśli kobieta będzie na „k" —
Napiszę słowo, każdy je zna.

Pruderią pióro me się nie splami
Opiszę śmiało gwałt z detalami
I bez metafor parabolicznych
Kilka stosunków fizjologicznych.

Takiej nabiorę pewnie maniery,
Że często wplotę cztery litery,
A od litery — literatura,
Z literaturą — rośnie kultura.

Będę wulgarny, będę czytany,
Będę dosadny i uwielbiany,
A chuligani będą z dziwkami
Prozą mą mówić pod latarniami,
Będę na ziemskim jeszcze padole
Z liściem u skroni stał na cokole
I będzie podziw budziło szczery
Słowo poezji — cztery litery.

Historia o Bzdurowie we fraszkach i obrazkach

Rys. H. Poulain

JAN CZARNY

Topografia

Strzałka, pod strzałką głowa —
drogowskaz do Bzdurowa.

(D. c. n.)

Śpiew koguta

W „Tygodniku Zachodnim" wśród licznych świergoleń zwrócił naszą uwagę następujący śpiew:

Erotyk infantylny

Baziu, baziu,
ja cię głaszczę rudy trzmielu,
a ty burczysz, a ty brzęczysz — tylko to.

Czyś ty widział
jak tańcują krasnoludki na weselu?

Nie rób tego, ja cię proszę, miły, nie rób,
nie rób, drogi mój, oh, o.

A dlaczego „o", kto to zgadnie?
Bowiem „o" to cudowna samogłoska.
„O" się mówi tak okrągło i tak ładnie,
że się śmieje nawet sama Matka Boska.

Tak, Matka Boska ma poczucie humoru...

W.

Najostrzejsze ołówki świata

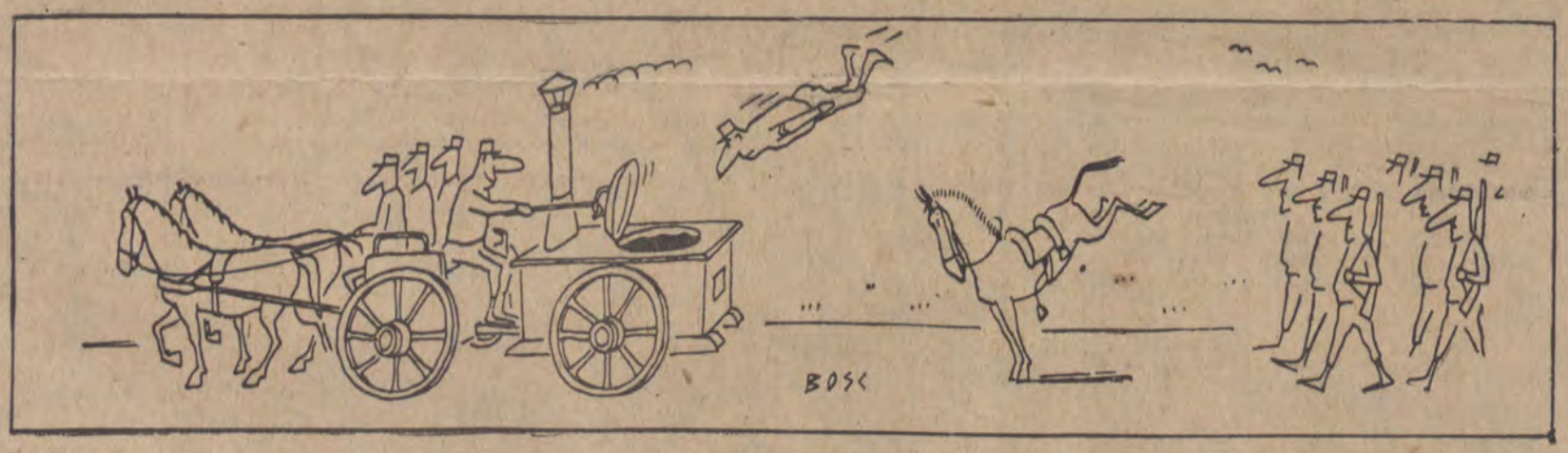

Powiadają niektórzy — narodził się nowy gatunek sztuki... Mówią inni: czy można nazywać „sztuką", choćby przez małe „s", owe niepozorne rysuneczki, drukowane zazwyczaj na ostatnich stronach dzienników i magazynów?

Pozostaje jednak faktem, że miliony ludzi w różnych krajach rozpoczynają lekturę swych ulubionych czasopism — właśnie od żartów rysunkowych, że podawanie codziennej czy cotygodniowej porcji uśmiechu w tej właśnie formie odpowiada jakiejś silnej potrzebie społecznej.

Coś ma z tym wspólnego tempo naszego wieku, kiedy najpoczytniejsze stały się gazety, streszczające w wielopiętrowym tytule obszerną relację. Kiedy ukazują się w milionowych nakładach skróty arcydzieł literatury... I kiedy niewielki rysuneczek może zastąpić lekturę całostronicowej humoreski...

150 lat temu komiczny rysunek mógł być tylko ilustracją tekstu. Powoli zaczął się usamodzielniać, aż doszedł do wynalezionej ostatnio formy rysunku bez tekstu, bez podpisu. Zyskał dziesiątki milionów odbiorców i tysiące autorów, którzy mu się wyłącznie poświęcili. Korzysta z doświadczeń nowoczesnej plastyki, literatury (humor absurdalny), nawet filmu (historyjki obrazkowe).

Autorzy rysunków humorystycznych (nie satyrycznych) mają w zasadzie jedną ambicję: rozśmieszyć, zabawić. Piszę — „w zasadzie" — bo jednak niektórzy wykroczyli poza tę ambicję, nie jest ich zresztą wielu. A ich prace można bez trudu wyróżnić w wielkiej masie dowcipów, zamieszczanych co tydzień przez magazyny ilustrowane całego świata. To artyści, którzy mają coś więcej do powiedzenia, czasem nawet reprezentują jakąś filozofię...

Stop — niech ten wstęp wystarczy jako zapowiedź prezentacji w kolejnych numerach „Odgłosów" — kilkudziesięciu najwybitniejszych humorystów. Będzie to wybór rysunków poszczególnych autorów plus komentarz. Rysunki będą zabawne, komentarz — bardziej poważny. Ale komentarza można przecież nie czytać...

A więc na początek

BOSC
— albo życie wojskowe

BOSC
albo życie wojskowe

Manewry, defilady, przeglądy wojsk, życie koszar — to ulubione tematy francuskiego rysownika — Bosca. Nie można go jednak nazwać antymilitarystą — w jego dowcipach rysunkowych nie ma nic ze wściekłej zawziętości przeciw dyscyplinie i mundurowi. To tylko łagodna kpina z przesadnej i napuszonej powagi wojska.

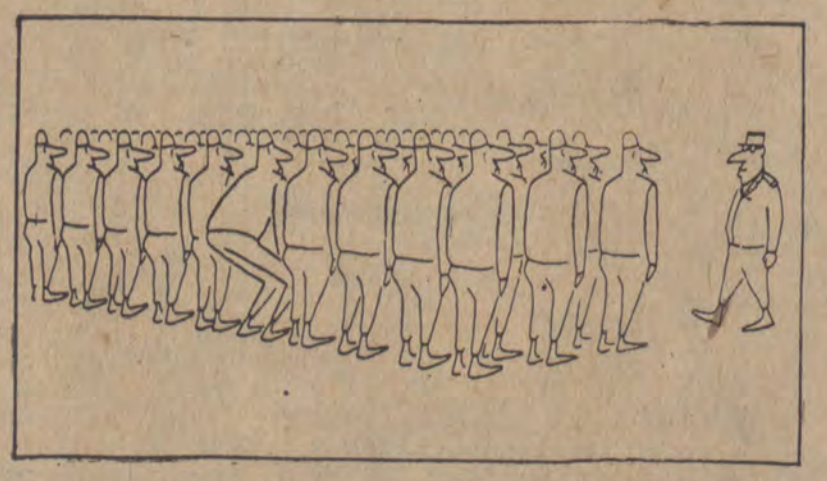

Pryska ta powaga — gdy w zwartej, groźnej masie wyrównanego szeregu żołnierzy znajdzie się choć jedna indywidualność. Raz będzie to krótkowidz, innym razem — żołnierz nadmiernie wysoki, lub niski. Śmiercionośny czołg holuje cywila-rowerzystę, jedno wierzgnięcie konia ośmiesza nadętego oficera...

Bosc, choć nie przekroczył jeszcze trzydziestego roku życia, a zaczął publikować swe prace stosunkowo niedawno, zyskał już we Francji dużą popularność. Dowcipy jego łatwo poznać, nie tylko dzięki określonym motywom tematycznym. Bosc lubi komponować swe rysunki „panoramicznie", są one wąskie i długie, przeważnie poziome. Uznaje wyłącznie humor sytuacyjny — stąd też wszystkie rysunki Bosca obywają się bez podpisów.

Dowcip bez podpisu — najtrudniejszy, ale też najbardziej szlachetny gatunek humoru rysunkowego!

J. WEYCHERT

ZA TYDZIEŃ:
Charles Addams — albo uśmiech z dreszczykiem.

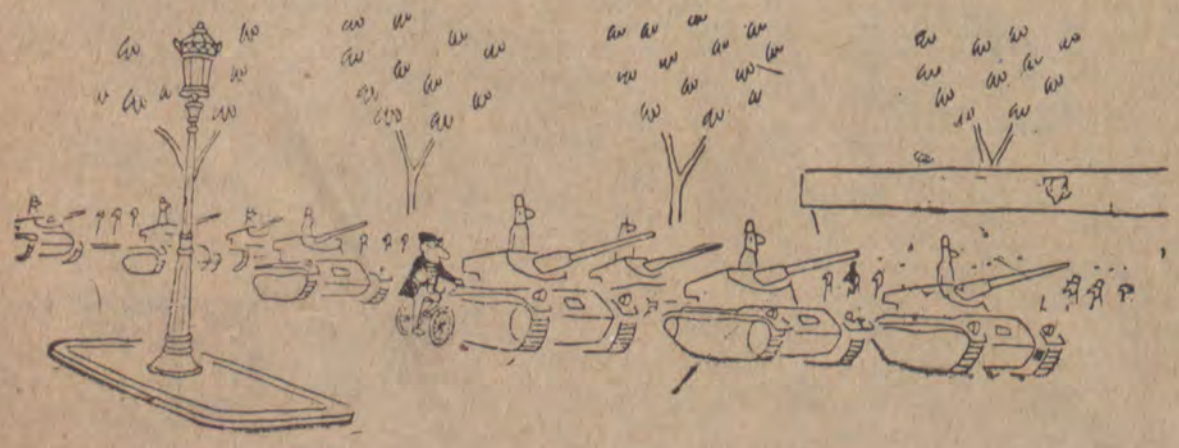

Gadki-łatki • Gadki-łatki • Gadki-łatki

CHARAKTEROLOG DOMOWY

KAPELUSZ I CHARAKTER

W latach dwudziestych naszego stulecia została wydana w Lipsku broszurka, której autor M. H. Gross spisał swoje spostrzeżenia dotyczące związku między charakterem człowieka a sposobem noszenia poszczególnych części garderoby. M. H. Gross pisze m. in., że mężczyźni, którzy noszą kapelusze prosto, bez przechylenia na jakąkolwiek stronę, posiadają na ogół prawy charakter, ale dość często przy tym usposobienie pedantyczne i skłonność do zanudzania swego otoczenia.

Ludzie przyjemni i łatwi w obejściu noszą wg Grossa kapelusz nieznacznie przechylony na jedną stronę.

Ci, którzy noszą kapelusz wyraźnie przechylony na prawą stronę, posiadają żywe usposobienie, temperament, łatwo zapalają się do nowych idei, są na ogół niewytrwali w swoich postanowieniach i działają najchętniej „na hura". W miłości są na ogół niestali, niedyskretni. Nie przywiązują szczególnej wagi do wspomnień i trudno od nich spodziewać się wdzięczności za wyrządzone im kiedyś przysługi.

Ci, którzy noszą kapelusz przechylony w lewo, są dyskretni, może niezbyt przystępni, ale gdy raz zdobędziecie ich zaufanie możecie liczyć na lojalność. Ludzi dzielą oni na „sympatycznych i antypatycznych". Wadą ich jest to, że w życiu kierują się zbyt często uprzedzeniami.

Kapelusz lub czapka przesadnie naciągnięte „na bakier" świadczą o samochwalstwie i bezczelności.

Ci, którzy noszą kapelusz zsunięty na tył głowy, jeżeli wierzyć Grossowi, to osobnicy bez skrupułów, lub pogrążeni w tarapatach życiowych.

Ci, którzy noszą kapelusz głęboko nasunięty na czoło, są zaczepni na ogół trudni w obejściu.

M

KOMENTATOR DOSTOJNY

SKRZYŻOWANIE

Na podstawie naszych własnych doświadczeń, śpieszymy poinformować Czytelników, że produkowane w naszym kraju nowoczesne, wyścielane wagony kolejowe są prawdziwym cudem techniki. Stanowią one mianowicie skrzyżowanie elektrycznego salonu z elektryczną lodówką.

KTO zwyciężył w naszym I KONKURSIE ?

Kto na arkusz do rozwiązań I Konkursu Tygodnika ODGŁOSY wpisał następujące tytuły:

1) Krzyżacy, 2) Kapelusz pana Anatola, 3) Witaj smutku, 4) Pętla, 5) Pierwszy krok w chmurach, 6) Piątka z ulicy Barskiej, 7) Stara baśń, 8) 08/15, 9) Wierna rzeka, 10) Młodość Chopina

(bądź 8 z tych tytułów), **ten** kandydował do jednej z 8 nagród.

Wśród 1994 odpowiedzi (tyle w sumie napłynęło ich na Konkurs) komisja odnalazła 1477 nazwisk osób, które w ten sposób wypełniły arkusz. Z tej liczby 224 osoby nadesłały odpowiedzi trafne, jednakże nie dołączyły dostatecznej ilości kuponów. W ten sposób do losowania dopuszczono 1253 osoby.

W wyniku losowania nagrody otrzymują:

I. Radioaparat „Wola" — ob. **Zygfryda Grabska,** Łódź, Sienkiewicza 64.

II. Radioaparat „Szarotka" — ob. **Jadwiga Binek,** Pabianice, Pomorska 1.

III. Radioaparat „Szarotka" — ob. **Ryszard Dziewulski,** Łódź, Włady Bytomskiej, bl. 116 m. 7.

IV. Rower — ob. **Ryszard Stefaniak,** Łask, ul. Tylna 12.

Na koszt redakcji „Odgłosów" pojadą do Krakowa i Zakopanego (na cały tydzień, autokarem):

V. Ob. **Józef Sloń,** Łódź, Wólczańska 117 m. 1.

VI. Ob. **Krystyna Kolińska,** Łódź, Warecka 5 m. 2.

VII. Ob. **Waldemar Pik,** Łódź, ul. Zduńska 11a.

VIII. Ob. **Zenon Olszyca,** Łódź, Białostocka 8.

(3 wyjazdy w dniu 26 bm. i 1 wyjazd w dniu 31 bm.).

Wymienione osoby proszone są o zgłaszanie się po nagrody do redakcji osobiście, począwszy od soboty 22 bm. w godzinach od 12 do 13.

Redakcja tą drogą składa zdobywcom nagród życzenia dobrego odbioru (radiowego — rzecz jasna), dobrej jazdy (na rowerze) i przyjemnej podróży auto-kuligiem do Krakowa i Zakopanego.

Wszystkim zaś uczestnikom I Konkursu życzymy zwycięstw we wszystkich przyszłych konkursach.

Rozrywki umysłowe

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1) Zlepek, zbiór, 5) Substancja lub przedmiot rozmowy, 8) Owad, 9) Stolica państwa europejskiego, 11) Jeden z muszkieterów, 12) Narząd wzroku, 13) Liczba, 14) Oprawa obrazu, 16) Konieczna w lokalu wyborczym, 17) Skrót niebezpieczeństwa, 19) Zapisek, 20) Minerał barwy oliwkowozielonej i czerwonej.

Pionowo: 1) Nauka, opisująca ciała niebieskie i Ziemię, 2) Pora roku, 3) Zjawa, 4) Rysunek lub napis na materiale, noszony w czasie pochodu, 5) Miłośnik muzyki, 6) Wycięcie na pudłach instrumentów smyczkowych, 7) Artystka dramatyczna, 10) Dopływ Wołgi, 11) Karta uprzywilejowana, 15) Kolonia portugalska w Indiach, 17) . . . elektryczny lub pacierzowy, 18) Sytuacja, położenie.

Termin nadsyłania rozwiązań — 10 dni. Wśród osób, które nadeślą prawidłowe rozwiązania zadań rozrywkowych zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

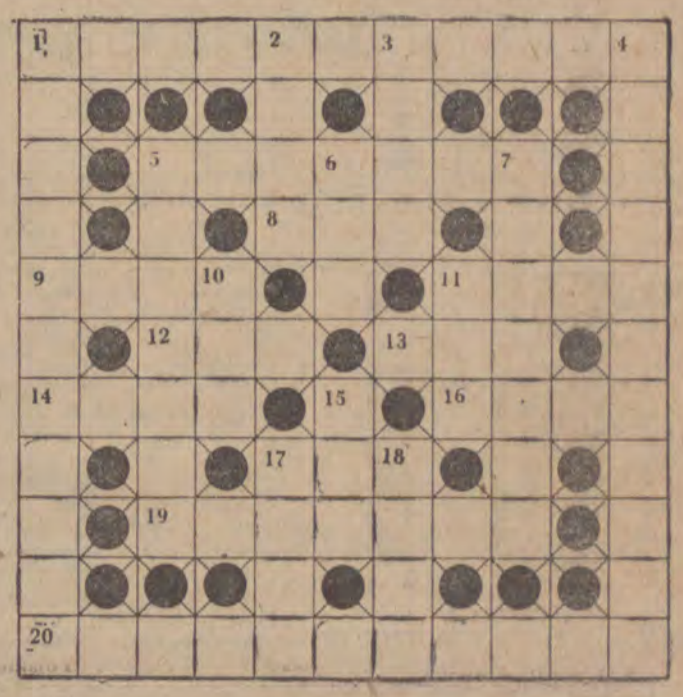

KSIĄŻKI dla naszego czytelnika

ROMAN ŁOBODA

Kasztanek i inne opowiadania

Mija już okres powszechnych, a przyjętych na wiarę przez czytelników, celebracji literatury Zachodu. Obecnie tenże czytelnik w miarę coraz szerszego poznawania twórczości pisarzy zachodnich — dzięki coraz liczniejszym przekładom i wydawnictwom krajowym— wyrabia sobie własny sąd o niej. I — raczej — nie doznaje rozczarowania.

„Kasztanek i inne opowiadania" — to książka nie tylko pasjonująca, dobrze napisana i oryginalna, ale także polskiemu czytelnikowi potrzebna. Lapidarność dialogu i przejrzystość obrazowania sprawia, że jest to literatura prawie dla wszystkich.

Steinbeck nie udziwnia. Ponieważ jednak tkwi głęboko w życiu, w życiu „dziwnym" i prawdziwym, zatem to o czym i jak pisze jest zarazem i proste, i niecodzienne. Nie komplikuje banału, lecz wprowadza w sprawy trudne, często tragiczne zwyczajność rozwiązań. Stąd atmosfera opowiadań nie jest duszna. Jak widać wentylacja działa nienagannie.

Być może, iż na styku tych właśnie, pozornie sprzecznych sobie, wektorów leży mistrzostwo takich pisarzy, jak Hemingway, Caldwell i autor „Gron gniewu".

„Ten nóż odziedziczył po ojcu, był to sprężynowy nóż o długim, cienkim ostrzu i czarnej rączce. Na rączce był guzik. Kiedy Pepe przyciskał ten guzik, ostrze wyskakiwało gotowe do użytku. Pepe nie rozstawał się z nożem, bo był to nóż jego ojca" — pisze Steinbeck w „Ucieczce", nie starając się uzasadniać faktu, że Pepe nie rozstawał się z nożem. Stwierdza tylko, (powtórnie), że „to był nóż jego ojca". Podobnie uzasadniają swoje racje bohaterowie Steinbecka. Dopiero działanie, reagowanie w różnych sytuacjach odsłania ich psychikę całkowicie.

Z każdej nieomal strony opowiadań Steinbecka bije jego gruntowna i praktyczna znajomość życia. Niewątpliwie takie książki są nam obecnie potrzebne.

Histeria stosunków międzyludzkich zamazuje kontury człowieczych kształtów. Specyficzne zagęszczenie sprzecznych bodźców społecznych gmatwa psychikę współczesnego homo sapiens, podsuwając mu bezpieczny wybór półczynów i półidei. Plagą naszych czasów, w naszej sytuacji nie jest zła moralność — jest brak moralności. Mięczactwo paraliżuje etykę i opóźnia rozwój.

A tu — w opowiadaniach — krzepa. Nic z tromtadracji i fałszywego patosu. (Np. „Napad"). Ot takie sobie zwyczajne działanie człowieka, który wie czego chce. I kropka.

Steinbeck nie stara się nam wmówić, że piętnastoletni Pepe, to jakiś heros, bo nożem skutecznie się posłużył, a potem prysnął w góry. Nie! Steinbeck tylko mówi, że Pepe stał się mężczyzną, gdyż postąpił jak znieważony mężczyzna.

Dla młodzieży opowiadanie jak ulał („Kasztanek" też), gdyby była ta pewność, że z całego morału nie zostanie tylko nóż.

I drugi dydaktyczny kwiatek: „Morderstwo". To nie są żarty — to prawie traktat o wierności małżeńskiej. I znów o męskiej postawie rzecz cała ze szczęśliwym epilogiem i jednym trupem, który nie zdołał tego szczęścia zamącić — choć, gdy żył to chciał: Kochanek.

Nie podjudzam do gwałtów. Broń Boże! Steinbeck też. Wydaje się, że w tej książce jest on właśnie najmniej moralista, a najbardziej artystą. Są uogólnienia, jest metafora. Ba, nawet ciągoty idealistyczne:

„Cóż za drań ze mnie — rzekł Harry do siebie. — Jakiż wstrętny drań ze mnie, żeby zabić to, co ona tak bardzo kochała! — Spuścił głowę i utkwił wzrok w podłodze. — Jestem sam! — rzekł. — O, Boże! Jestem taki samotny!"

(„Biała przepiórka")

Tym razem nie został zabity gach, lecz mała, biała, biedna przepiórka. A jego żona mówiła mu, że ta przepiórka, to jej dusza, dusza, której nie rozumiał i bał się. Więc ją zabił — przepiórkę. I został sam, bo tylko z ciałem. Aha!

W sumie piękne i pożyteczne dla polskiego czytelnika, który niewątpliwie tęskni do bezkompromisowych, śmiałych i szlachetnych czynów. A groszkowe pola i chryzantemy śnią się po nocach. (Uszanowanie panie Freud).

Cóż, czytelnik chce niecodzienności w granicach codziennej skali odczuwania.

„Kasztanka i inne opowiadania" pije się jak — przepraszam — źródlaną wodę.

„Kasztanek i inne opowiadania" — John Steinbeck, Czytelnik, 1957.

Antologia polskiej poezji podziemnej

Zebrał ją, opracował, opatrzył przedmową i przypisami znany poeta i uczestnik walk podziemnych oraz redaktor konspiracyjnych pism ludowych podczas hitlerowskiej okupacji, Jan Szczawiej, a wydało Wydawnictwo Oświatowe „Wspólna Sprawa" jako kolejną pozycję „Biblioteki Ruchu Oporu" Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Pokaźny ten tom dużego formatu o blisko 600 stronicach, z wieloma pięknymi ilustracjami Antoniego Uniechowskiego na pięknym kredowym papierze, zawiera około 500 utworów poetyckich napisanych w latach 1939—1945 przez 120 poetów nie licząc autorów nieznanych lub nie zidentyfikowanych. Pomysł i zamierzenie godne bezapelacyjnej pochwały.

Ale czy uznania? Otóż nie wszyscy z dotychczasowych recenzentów, a było ich dość sporo w kraju i na emigracji, zbyt chętnie kwapili się z tym uznaniem. A to wadziło im to, a to tamto. Główny zarzut dotyczył zbyt rozległego zakresu w wyborze wierszy. Utwory pisane podczas okupacji w kraju i umieszczane w krajowych pismach podziemnych, za które groziła natychmiastowa śmierć, a więc utwory rzeczywiście konspiracyjne, zostały pomieszane w tej antologii z utworami dotyczącymi wprawdzie tematów okupacyjnych i walki o wyzwolenie, ale pisanymi w warunkach pełnej swobody, jawności i bezpieczeństwa w Związku Radzieckim i na Zachodzie. Zasługa pisania tych wierszy i waga ich bezpośredniego oddziaływania w warunkach okupacji była jednak zbyt różna — i tutaj zdaje się recenzenci podnoszący ten zarzut mają niewątpliwą słuszność.

Natomiast nie mają absolutnie żadnej słuszności, kiedy mówią o zbyt małej selekcji artystycznej utworów w antologii. Nieraz utwór o nikłej albo nawet nijakiej wartości artystycznej spełniał o wiele donioślejszą rolę w bezpośrednich skutkach propagandowych od niejednego utworu o wysokiej właśnie wartości artystycznej.

Zresztą autorowi antologii chodziło, zdaje się, jedynie o zebranie możliwie jak najobfitszego materiału okupacyjnego i uchronienie go od ostatecznego rozproszenia i zatraty. A więc raczej ambicje archiwalne niż artystyczno - literackie powodowały autorem w jego zamyśle i opracowaniu. I to wydaje się jedynie słuszne i za to należy mu się bezapelacyjne uznanie, a nawet pochwała.

A co do niedopatrzeń w informacjach i przypisach do poszczególnych autorów i utworów — to po co robić z tego zaraz taki raban! Mógł mieć niedopatrzenia np. taki Sienkiewicz w Trylogii albo w „Qvo vadis", to jakże ich nie wybaczyć Szczawiejowi w jego „Antologii"? Zresztą można je usunąć w następnym wydaniu tej ze wszech miar pożytecznej księgi.

Z autorów łódzkich w antologii tej figurują: Jan Huszcza, Światopełk Karpiński, Marian Piechal, Tadeusz Sarnecki i Grzegorz Timofiejew.

ONUFRY GAYDA

MIESZANKA FILMOWA

Felieton dla widowni

Co z kinem panoramicznym?

Ciekawe, że badacze zjawisk społecznych nie odkryli jeszcze tej przedziwności! Oto nie mamy kin, z filmami rodzimej produkcji też nie dzieje się najlepiej, a równocześnie nasza widownia jest wspaniała. Kocha się bez wzajemności w X Muzie. Kocha ją i jej nie odstępuje ani nie zdradza, chociaż jest przez nią traktowana „per noga", odpychana i okradana przy każdej okazji.

Okradana? Tak, moi mili. Jesteście okradani w sposób bezczelnie jawny, okradani — niestety — coraz częściej. Nie pomoże zapobiegliwe pilnowanie portmonetek. Nie pomoże zostawianie pieniędzy i drobiazgów w domu... Bo tu nie o to chodzi. Złodzieja nie trzeba szukać w gronie kieszonkowców.

Tylko gdzie? O! — gdybym wiedział. Niestety, czyjaś duża głowa podzieliła kompetencje i odpowiedzialności w sposób wielce skomplikowany, co skutecznie uniemożliwia wszelką denuncjację. Dlatego opiszę jedynie sam fakt kradzieży.

A więc, jak wszystkim wiadomo, istnieje na szerokim świecie pewna ilość nowoczesnych systemów nakręcania i wyświetlania filmów. Ekran został poszerzony, ma otoczyć widza, wciągnąć go w akcję rozgrywaną na płótnie. Przy pomocy różnych sposobów, opartych na tej metodzie, nakręcono już wiele filmów. Niektóre z nich zostały sprowadzone do Polski. Czyli wszystkie znaki na niebie i na ziemi zdawałyby wskazywać na to, że nasza widownia te filmy zobaczy. Tymczasem cudów nie ma, przez co widownię owe filmy ominą, przynajmniej w swoim kształcie oryginalnym. Bo u nas kino z szerokim ekranem jest zjawiskiem nader rzadkim. Niektóre miasta już się postarały i mają. Łódź zapomniała i nie ma ani jednego, chociaż jest... stolicą rodzimej kinematografii. Ale nie o to chodzi, notuję sytuację jedynie jako wstęp do właściwej treści niniejszych uwag. Zachodzi przecież pytanie, co robią czynniki, których zadaniem — jak się zdaje — winno być rozsądne uregulowanie opisanego stanu rzeczy...

Cóż więc robią prestidigitatorzy ze Stolicy?

Poganiają odpowiednie a gnuśne władze terenowe, ażeby poszerzały ekrany i w ogóle jakoś modernizowały kina? Po co! Są inne sposoby.

Oto film, nakręcony techniką szerokoekranową, na przykład „cinemascope", zostaje skopiowany w ten sposób, że daje się wyświetlać na górnej części tradycyjnego ekranu. W ten sposób akcja, która miała widza otoczyć, zostaje pokazana w wymiarze mniejszym niż kiedykolwiek, ale za to... pod sufitem. Dzięki temu pomysłowi — łodzianie oglądali już coś niecoś (np. „Wojownika indiańskiego") siedząc jak u fryzjera. Przebiegali wzrokiem od napisów, które pojawiały się na dole ekranu, na czarnym tle, do obrazu, który dział się powyżej.

Jest to złodziejstwo jawne. Bo jakże inaczej nazwać okradanie widza z należnej mu porcji satysfakcji, opłaconej pełną ceną biletu?

EDWARD ETLER

Wyjątkowo krótki scenariusz pt.

Kumoterstwo

Na placu stał stragan z owocami. Koło niego gromadził się ludzie. Pewien staruszek dostawał swoje złote renety poza kolejką. Przychodził po nie od 40 lat. Klienci zrzędzili. Straganiarka umarła.

Teraz jest w niebie, gruba, w białym fartuchu. Sprzedaje jabłka z rajskiego ogrodu aniołom, a nawet samemu Stwórcy — poza kolejką. Kupujący znoszą to z anielską cierpliwością.

Napisała i rysowała
ELŻBIETA ZECHENTER

EKRANIK

POETKA — GWIAZDĄ EKRANU

Dziesięcioletnia Minou Drouet, poetka tłumaczona już na dwanaście języków (m. in. grecki, arabski i japoński), zdobywczyni I nagrody za grę na pianinie i gitarze, laureatka konkursu na piosenkę imienia Mozarta, została zaangażowana przez reżysera Raoula Andre do jego najnowszego filmu pt. „Klara i złoczyńcy".

Minou gra tam rolę dziewczynki, porwanej przez kidnaperów. Zrujnowani chwilowo rodzice nie mogą wypłacić gangsterom żądanego przez nich okupu. Dziecku grozi śmierć. Lecz oto staje się cud, z cyklu tych, które na ogół zwykły zdarzać się jedynie w filmach. Oczarowani urokiem dziecka kidnaperzy bezinteresownie zwracają je rodzicom, właśnie w chwili, kiedy odzyskują oni fortunę. Mała Klara żałuje jednak swoich przyjaciół spod ciemnej gwiazdy i tęskni za nimi.

Minou oczarowała nie tylko złoczyńców, ale i całą ekipę filmową. Okazało się, że osławione „cudowne dziecko" — jest przemiłą, pełną prostoty dziewczynką, a w świetle jupiterów czuje się jak u siebie w domu. Z chwilą ukończenia zdjęć mała poetka powędruje za ocean, gdzie amerykański wydawca przedstawi ją prasie i telewizji.

GWIAZDA EKRANU — POETKĄ

Słynna włoska gwiazda filmowa, Isa Miranda („Mury Malapagi", „Jesteśmy kobietami") wydała zbiorek wierszy pod ultranowoczesnym tytułem „Klęcząca mrówka" („La Formica in ginocchio") W przedmowie do książki znany włoski poeta Corrado Govoni pisze:

„Jeśli w tych wierszach nie ma głębokiego i oryginalnego tchnienia poezji, to nie wiem co w ogóle można by nazwać poezją".

Miranda przygotowuje do druku następną pozycję, tym razem prozatorską. Będzie to historia jej kariery „jako artystki i jako kobiety".

SKAT

Zizi Jeanmaire

W 80 DNI DOOKOŁA ŚWIATA

(Korespondencja własna)

Bez żadnego wstępu i usprawiedliwienia na ekran wkracza niesympatyczny, bezbarwny starszy pan i ględzi o Juliuszu Verne, szybkości i podróżach. Pokazuje ziemię z lotu rakiety, stary film Meliesa o podróży na księżyc i nagle na szeroki ekran wjeżdża na przezabawnym bicyklu Canbiflas w roli Passepartout-Obieżyświata. I tak zaczynają się ekranowe przygody pana Fileasza Fogga.

Wspomnę tu tylko o paru osobliwościach tego filmu. A więc — gwiazdy. Ilość ich i jakość przewyższa wszelkie oczekiwania. Marlena Dietrich pokazuje bajeczne nogi w jednej z knajp Dalekiego Wschodu, tamże sławny „Głos" — Frank Sinatra bębni na rozklekotanym pianinie, pokazując twarz tylko przez sekundę. Fernandel gra parominutową rolę fiakra paryskiego, który nie może pojąć, czego od niego chcą dwaj dziwaczni cudzoziemcy — p. Fogg i jego służący. Wariacja na temat: „nie rozumiem, ale udaję, że rozumiem" jest dla mnie jednym z największych osiągnięć popularnego komika. Buster Keaton gra „rolę" konduktora pociągu transkontynentalnego. John Mills jest pijanym londyńskim woźnicą i tak dalej i dalej.

Najbardziej interesująco wypadły przygody pana Fogga w Ameryce i na Atlantyku. Miłe i mniej miłe spotkania z Indianami, triumfalna podróż ożaglowaną drezyną budzą nie tylko śmiech i sympatię dla bohaterów, ale dają też i porządną porcję napięcia.

Najlepszą jednak częścią filmu jest czołówka, czyli część zawierająca nazwiska twórców. W tym filmie obyczajem amerykańskim, jest ona na końcu i stanowić może samodzielny film rysunkowy, bardzo zabawny i pomysłowy. Nazwiska pojawiają się wraz z rysunkami charakteryzującymi postać, przy akompaniamencie dowcipnej muzyki i dają doskonałe streszczenie filmu.

Krytyka różnie mówi o tym superprodukcie Mike Todda i oczywiście można się do niego tak czy owak przyczepić, ale jakby nie było — zrobiony jest kulturalnie i zabawa jest doskonała. Niestety, nie ma go jeszcze w Polsce, ale kiedy tylko pojawi się na ekranach, przekonacie się o tym sami. Na razie przeczytajcie sobie książkę. Przyda się, jeżeli nie dla rozrywki, to dla późniejszego porównania. Można też przeczytać książkę, a mówić, że się widziało film, ale z tym ostrożnie, bo można się wsypać. W każdym razie nie mówcie nikomu, że ja wam to poradziłem.

W.

TEATRZYK KINOFIKCJI

Rok 1
NR IV

Niniejszym przerywa się publikowanie powieści z życia sfer filmowych, zawierającej liczne wstawki sceniczne. Decydując się na ten krok — kierownictwo Teatrzyku postanawia zarazem zachować w tajemnicy właściwe przyczyny swojej decyzji.

KONKURS WARSZAWSKI

Z inicjatywy Klubu Krytyków Filmowych ufundowane zostaną doroczne nagrody im. Karola Irzykowskiego za najlepsze pozycje publicystyczne na tematy filmu drukowane w prasie krajowej w ciągu roku, bądź też za całokształt twórczości publicystyczno-krytycznej. Zarząd Klubu powołał Jury Nagrody, w skład którego wchodzą obok czterech krytyków filmowych przedstawiciele: SPATiFu, Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej i Zakładu Teorii i Historii Filmu przy Państwowym Instytucie Sztuki. Po raz pierwszy Nagrody im. Irzykowskiego (pierwsza, druga i trzecia) przyznane zostaną w kwietniu br.

Członkowie klubu oraz inni autorzy prac o tematyce filmowej mogą ubiegać się o nagrodę, przysyłając swoje prace do dnia 10 marca br. na adres Klubu Krytyki Filmowej SDP — Warszawa, ul. Foksal 3/5. Zarząd Klubu i jury uzupełnią listę kandydatur pozycjami niezgłoszonymi przez samych autorów.

Powyższe podajemy w brzmieniu oryginalnym (autentyczna reprodukcja!) za tygodnikiem ilustrowanym „Film" nr 10 (483).

Ogłoszenie poucza, iż prace można przesyłać na adres Klubu Krytyki Filmowej do dnia... 10 marca! Trzy kropki przed tą datą i wykrzyknik po niej — oznaczają nasze zdziwienie. Albowiem rzeczony 10 (483) numer „Filmu", z którego wyjęliśmy ową informację, opatrzony jest datą... 9 marca! Wypada pogratulować organizatorom konkursu rozsądnie pomyślanych metod propagandy.

ZAGADKA MATEMATYCZNA

Korytarzem przebiegają mężczyźni. Mijają rozwalony pisuar. — Tak wygląda jedna ze scen nakręcanego obecnie filmu pt. „Poczta Gdańska".

Czyli w filmie potrzebny był pisuar-dekoracja, pisuar tylko zamarkowany, pisuar taki na niby. Za przykręcenie tego pisuaru do jednej ściany trzema śrubkami policzyła sobie Wytwórnia Filmów Fabularnych... 60 „roboczogodzin". Pytanie: — Ilu ludzi, przez ile dni, przykręcało trzy śrubki do jednej ściany?

Etl.